Nr. 6. Lwów, Niedziela dnia 8. Października 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: roczuie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VI.

WAŻNY OBOWIĄZEK.

Na kuli ziemskiej nie ma pewnie narodu, któryby tak mało myślał o sobie, jak właśnie my Polacy. Żyjemy z dnia na dzień, pocieszając się stereotypowym frazesem: jakoś to będzie! i dopiero gdy nam bieda nadto dokuczy, zrywamy się namiętnie i nierozważnie do walki nierównej, aby pokonani założyć znowu ręce i nie myśleć wcale o tem co dalej czynić wypada.

Tymczasem obowiązek nakazuje nam pracować wytrwale nietylko w kraju, lecz także za granicą.

W kraju podnośmy oświatę, nauki, sztuki i dobrobyt; za granicą przypominajmy się ciągle światu, wskazując na nasze zdobycze cywilizacyjne.

O tej drugiej części zadania, któreśmy spełniać powinni, powiemy dziś słów kilka.

Po r. 1831 Europa znała nas dobrze, bo tysiące polskich żołnierzy osiadło na Zachodzie, którzy tęskniąc do kraju, przypominali ciągle cudzoziemcom swoją ziemię ojczystą, a oprócz tego magnaci polscy pod przewodnictwem domu Czartoryskich, nie mogąc pogodzić się z nowym stanem rzeczy, przemawiali za Polską w salonach dworskich i dyplomatycznych. Gdy jednak emigracja stara wymarła, a dom Czartoryskich zrezygnował przynajmniej chwilowo ze swoich widoków, w Europie przestano mówić o Polsce.

Ostatnia emigracja nie mogła pod tym względem zastąpić starej, bo gdy wychodźcy z r. 1831 liczyli w swoim gronie bardzo wielu ludzi bogatych i z wybitnem stanowiskiem społecznem, którzy bez trudności mogli przypominać sprawę polską,—wychodźcy z r. 1864 należąc przeważnie do warstwy pracującej bądź fizycznie bądź umysłowo, rozprószyli się po fabrykach, a zarabiając na gorzki chleb powszedni, nie mieli ani czasu ani możności zawiązywać stosunków z dyplomatami i wpływowymi dziennikarzami.

Następstwem tego jest dziś milczenie prasy zagranicznej o wszystkiem co polskie.

Ponieważ takie milczenie wielką nam szkodę przynosi, przeto powinniśmy wszelkich dołożyć starań, aby wedle sił złemu zaradzić. Jesteśmy biedni, nie mamy pieniędzy na zakładanie wielkich pism codziennych w główniejszych stolicach europejskich, lecz w każdej z tych stolic mamy zdolnych Polaków, którzy gdyby jakiekolwiek otrzymali z kraju poparcie, mogliby nam niepospolite oddawać usługi.

Mimo zmienionych stosunków, w każdem państwie są stronnictwa, które dla Polski mają sympatję. Organa tych stronnictw przyjmą chętnie wszystko, co się odnosi do naszej ojczyzny, byle znaleźli się ludzie, którzyby im te wiadomości sami przynosili.

Kilkaset franków posyłanych miesięcznie do Paryża, Londynu i Rzymu zapewnią nam głos w prasie tamtejszej. Jest że to tak wiele, żeby aż cały kraj na to nie mógł się zdobyć? Wszak tu nie potrzeba nawet składek publicznych, bo piękne to zadanie mógłby spełnić pierwszy lepszy obywatel, mający kilkadziesiąt tysięcy rocznego dochodu, których w samej Galicji liczymy na setki.

Lecz znajdują się może tacy, którzy nam powiedzą, że każdy Polak powinien to za granicą czynić *bezpłatnie*. Odpowiemy, że ludzie oddający się piśmiennictwu i mogący korzystnie dla nas pracować, są prawie wszyscy biedni, a więc jako tacy potrzebują wynagrodzenia za swoją pracę. Prócz tego każda praca bezpłatna, przestaje być pracą rzetelną i przemienia się w dyletantyzm. Wszak nawet tu, w domu, podnoszono już głosy za potrzebą opłacania członków wydziałów powiatowych, ponieważ od bezpłatnych nie można żądać, by wiele czasu sprawom publicznym poświęcali.

Rzuciliśmy kilka uwag w sprawie wielkiej dla nas doniosłości. Jeżeli nie znajdzie się jednostka, którąby chciała spełnić tak piękne zadanie, czyż nie znajdzie się grono ludzi dobrej woli, którzyby się podjęli tej misji?

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nie rychło też w Barcinie oswojono się z tem sieroctwem, a co gorzej, różne też klęski, jedna po drugiej na tych biednych państwa Marcinostwa spadać poczęły. Gospodarstwo jakoś się znowu nie powiodło, piorun spalił stodołę i oborę, proces stary o granicę został przegrany, przyszła druga familijna sprawa o sukcessję i zaplątała się wciągając w długi, słowem jak to najczęściej bywa w świecie, jedna bieda nie dokuczy, sypnęły się razem nieurodzaj, niedostatek, kłopoty i chorobska. Jeszcze to wszystko byłoby do zniesienia, gdyby nie najboleśniejszy cios, — słabość ukochanego dziecka, Justysi. Kwiatek ten doszedłszy do największego blasku, nagle schnąć i więdnąć począł; radzono po domowemu, nic nie pomagało, sprowadzono lekarzy, sypano jałmużny, odbywano podróżne pielgrzymki, Justysia widocznie usychała. Stała się milczącą, smutną nawet; dawne jasnowidzenia prorocze ją opuściły: wybielała jak lilja, krew z warg i oblicza uciekła, schudła, zdawała się codzień przezroczystsza i wiotsza. Cudnie jej było nawet z tą chorobą dziwną, ale rodzice patrząc, krwawemi łzami płakali. Na różne wpadano pomysły i środki ratunku, aż nareszcie doktor Merkel zadecydował, że koniecznie potrzeba było zmienić powietrze.

Wprawdzie tem ci ona powietrzem oddychała od urodzenia, niem wyrosła i rozkwitła, nie wiedzieć dlaczego miało się jej tak nagle stać szkodliwem, ale doktor zawyrokował, potrzeba było słuchać. A tu właśnie i procesami i lekami i niefortunnem gospodarstwem Barcińscy przywiedzeni byli do takiej ostateczności, że o grosz w domu co-

raz było trudniej, tego roku i grad ich jeszcze nawidził. Wszelako pan Marcin dla dziewczęcia nic nie szczędząc, musiał dać Boguszowi Sroczyn w zastaw za sumę nie wielką, i to bez rachunku, żeby mieć o czem z domu wyruszyć. Podróże naówczas nie mało kosztowały.

Już się wieść o tej umowie rozeszła była po sąsiedztwie i wszyscy żałowali Barcińskich, bo Bogusz sławnym był z tego, że z interesu nikt z nim na sucho nie wyszedł, Sroczyn więc zawczasu uważać było można za przepadły, a folwark był co się zowie piękny, intratny, najlepszy może ze wszystkich trzech. Szczęściem, że jeszcze transakcja zastawu spisaną nie była, raptularz tylko przygotowano, a na ten jakoś obie strony się nie zgadzały, różnych wymagając zastrzeżeń i dodatków.

Życzył p. Bogusz utrudnić wykup, a dziedzic sobie ułatwić i nie mieć potem rachunków, więc punkta tyczące się zabudowań, zasiewów, remanentów, itd. szczelnie roztrząsano i jak to się niestety między ludźmi wiedzie, Bogusz widząc, że łyka się drzeć daje, ciągnął sobie jak mógł, a pan Marcin tarł biedaczysko czuprynę, tylko gdy na Justysię spojrzał, o wszystkiem zapominał.

— Niech tam Sroczyn licho bierze, byle dziecko żyło, — zawołał w ostatku — będzie dla niej i tego co zostanie, byle Bóg dał zdrowie.

Był więc już zdecydowanym, gdy Bogusz nadjedzie podpisać co zechce, byle pieniędzy dostać. Nie można było powiedzieć cale, ile ta podróż kosztować miała, bo doktorowie warszawscy ostatecznie dopiero wyrokowali, jakiego to tam potrzeba było powietrza, aby kochane dziecię uzdrowiło.

Tego dnia, gdy się prawie na pewno przychodziło ze Sroczynem pożegnać, pan Marcin całą noc nie spał, wyrwał się rano z izby, i z oczyma załzawionemi prawie, chodził modląc się po sadzie. Serce mu się ściskało... W Sroczynie mieszkali dawniej jego rodzice za życia nieboszczyka dziada, tam się on sam urodził, tam dziecinne lata przebiegał, żegnać mu się było z tą ziemią, oddawać ją w obce ręce, tak boleśnie, tak trudno, że niemal dzieckiem się stawał, gdy pomyślał o tem. Znał każdy kamyk, pamiętał tam każdą ścieżynę, gromada tamtejsza do chrztu go trzymała, ludzie wszyscy stanowili jakby rodzinę, żyła jeszcze staruszeczka mamka, co go wykarmiła, piastunka Marysia, dotąd choć 60-letnia, gracjalista Mateusz, który na rękach go nosił, gospodarze, których on znał małymi chłopakami... co z nim razem polowywali i swawolili w lasach i stawie sroczyńskim. Bogusz był dosyć ostrym panem i to go więc martwiło, że ci ludzie od niego ucierpią, a choć ich z pod jurysdykcji jego wyjął i od roboty uwolnił, wiedział dobrze, że na gruncie siedząc, do tysiąca uciążliwych robót i posług mogli być tak lub owak zaprzęgnieni.

Wszystko go to martwiło... chodził i gryzł się, a tu gdy się u furtki ogrodu pokazał, postrzegł całą niemal gromadę ze Sroczyna, smutnie stojącą w dziedzińcu; starą Marysię, starego Mateusza i gospodarzy z pospuszczanemi głowami. Wieść się już była rozeszła o zastawie, o Boguszu, i ludzie przybiegli, chcąc się jeśli można, wyprosić od grożącego im nieszczęścia.

Zobaczywszy ich p. Marcin aż ręce załamał, serce mu bić zaczęło... A tu z drugiej strony córka, dziecię jedyne... co począć... co począć? Dałby chętnie w zastaw Miękosze a choćby i Barcin, ale z niemi taż sama sprawa. Miękosze były jejmościną kolebką, a w Barcinie i dwór i stado i zasób cały i owa skarbniczka szlachecka. Gdyby Bogusz chciał się zgodzić i dać pieniądze choć na grubą prowizję, żeby się wyrzekał zysku pewnego dla cudzego smutku? O tem i pomyśleć nie było można.

Spojrzawszy na furtę, na tę ludzi gromadkę, stojącą tak smutnie, zobaczywszy, że staruszka łzy ociera, a Mateusz z łysą głową w ziemię spuszczoną stoi pogrążony w myślach jak przybity, p. Marcin wyjść do nich nie śmiał i poszedł ukryć się w gąszcze, aby rozstanie i rozmowę odwlec trochę. Sam już nie wiedział co robić.

W tem zatętniało w dziedzińcu.

— Otóż masz i Bogusza! — zawołał z rozpaczą prawie... — ależ mu pilno, tak rano... poznaję kłus jego przebrzydłej szkapy. Nie ma co robić, trzeba wyjść z nory.

Wychodził właśnie na ganek od ogrodu gdy zdyszana wybiegła na przeciw niemu Agnieszka.

— Ależ proszęż no jegomości! a prędko... a prędko... ktoś z listem pilnym przyjechał...

— To nie Bogusz?

— A! nie... musi być ważny jakiś interes, bo kozak nikomu oddać go nie chce, tylko do rąk samemu panu.

— Ale co? od kogo? zkąd? — spytał p. Marcin, który i czytać listów i odpisywać na nie szczególniej nie lubiał.

— Otóż to, że kozak gadać nic nie chce — odpowiedziała Agnieszka — zsiadł z konia przed gankiem... barwa granatowa z żółtem... ubrany pięknie aż strach, stary, siwy jakiś, ino wąsa pokręca, i mówi, że musi się prędzej z jegomością widzić, bo sprawa jakaś bardzo pilna...

Pan Marcin zaciekawiony wszedł do izby, a tu z drugiej strony drzwiami od dziedzińca wsunął się kozak i pokłonił mu się do ziemi. Oczyma wskazał na pannę Agnieszkę dając do zrozumienia, że przy niej poselstwa sprawiać nie może; domyśliwszy się o co idzie, p. Marcin dał jej znak, aby ustąpiła, choć niechętnie więc, musiała się usunąć.

Kozak był jak dąb ogromny, barczysty, stary, posiwiały, wąs spuścisty wielki spływał mu na usta, czoło miał wygolone, tylko osełedce biały za ucho zakręcony czupurzył się na głowie. szrama na czole jedna od szabli, druga przez policzek głęboko czerwieniała od zmęczenia, z oczów mu patrzały bystrość dziwna i rozum.

Jak tylko zostali sam na sam, kozak powoli dobył z pod kontusza pismo uwinięte w chustkę, potem w oka mgnieniu odpasał trzos skórzany, który miał pod suknią, położył go cicho i ostrożnie na stole, sam się znowu nisko pokłonił, a gdy pan Marcin zdziwiony i zaciekawiony, pieczęcie łamał, stary wyszedł na palcach, konia dosiadł przy ganku, chwycił cugle i ledwie na łączek skoczył, jak go smagnie nahajką... tyleście go i widzieli, tuman tylko kurzu poleciał za nim po drodze i znikł jak w wodę. Ludzie którzy na to patrzali, zlękli się, czy jakiego kryminału nie popełnił, jedni rzucili się za nim, drudzy do izby... Ale kozak ledwie się wychwyciwszy z dworskich opłotków, nie pojechał drogą, szczwany lis przesadził rów i znikł w krzakach i lesie.

Wybiegł natychmiast i p. Marcin szukając go, wykomenderował w pogoń ludzi najżwawszych, kazawszy ścigać do zdechu, ale wszyscy popowracali znużywszy szkapy bez skutku. Masztelarz Onufry schwycił był kozaka na oko i formalne nań odbył polowanie, ale dopędzić nie mógł. Kozak oglądał się stawał, kłaniał mu się, żartował sobie, udawał że go na tabaczkę prosi, a gdy ten już się doń przysuwał, znikał w takich dziurach, kędy płochliwy koń Onufrego i przecisnąć się nie mógł.

List, który kozak wręczył p. Marcinowi był napisany znanym charakterem Żeligi, z treści następującej:

Wielmożny panie a bracie!

Doszła mnie dopiero w tych dniach wiadomość o wielkich utrapieniach i stratach jakiemi się Panu Bogu podobało dotknąć państwa moich — odbolałem ja je z wami. Boję się tylko teraz aby spiesząc z przyjacielską pomocą, nie przybyć za późno. Mówiono mi że stolnik zmuszony jesteś puścić Sroczyn zastawą p. Boguszowi, nie czyń że tego proszę, a przyjm natomiast prostą pożyczkę trzech tysięcy czerwonych złotych, które oddawca listu wam złoży. Justysi na jałmużny jej i zabawki niech służy póki się przyjaciel stary nie przyjdzie upomnieć.

Wasz

Żeliga."

Czytali ten list raz jeden i drugi i trzeci i nie wiedząc co myśleć sami; płakali, pan Marcin się modlił, pani Marcinowa szalała z radości, a panna Agnieszka uśmiechała się dziwnie jakoś.

— Już co teraz — rzekł Barciński — ani wiem co myśleć, czy królewicz zaklęty, czy czarnoksiężnik, czy alchemista, czy uchowaj Boże rozbójnik... kiedy tak sypie złotem to pewna, że nie lada kto, i że serce ma też złote.

— A widzicie, ja zawsze mówiłam! — dodała Marcinowa — że to jest wielki magnat, tylko mu coś jest, że się w biedaka poszył...

— Ja się tego spodziewałam! — dodała dosyć spokojnie Justysia.

— Ale to cuda, to istne cuda! — powtarzał p. Marcin.

Rozwiązali trzos nie dowierzając jeszcze, a nuż żart... posypało się z niego złoto, jak jeden holenderskie, nowiusieńkie dukaty... Przy nich jeszcze znaleziono cztery opieczętowane małe pakieciki w jaszczur oprawne z napisami na kartkach: Pani stolnikowej — Panu stolnikowi — Pannie Justynie — JM. Pannie Agnieszce.

Trzeba było patrzeć jak się to tam rwało wszystko z ciekawością wielką do tych podarków, jakby z nieba spadłych.

Dla Justysi były zausznice dwie, w każdej po niezapominajce turkusowej jednej, a pośrodku brylant jak dobre ziarnko grochu.

Klejnoty były prawdziwej włoskiej roboty i kunsztu wielkiego. Dla pani stolnikowej łańcuszek wenecki nie wielkiej wagi, ale jakby z pajęczyny dziany i wielkiej ceny dla misterstwa swego; na nim balsaminka z jednej sztuki agatu w złoto oprawna. Dla jegomości sygnet z herbem jego Wierzeja i cyfrą na szmaragdzie cięty osobliwie, a tak oprawny, żeś mógł oczko obrócić i cyfrą lub herbem pieczętować wedle upodobania. Dla panny Agnieszki prezent był prawdę rzekłszy najlichszy i wcale niepokaźny: prosty pierścień złoty, na którego widok tak się zarumieniła, spłonęła i zawstydziła, jak piętnastoletnia dzieweczka. Wstyd jej było nawet pokazać upominek, bo złota owa obrączka nader prostej roboty, wyobrażała dwie ręce złożone ściśnięte, które naówczas „parolem“ nazywano. Co rzecz szczególna, nie był ów pierścień nowy, ale nieco używany i trochę wytarty. Biednej łzy się w oczach zakręciły, bo to niby tak jakoś na żart zakrawało. Widząc jej zakłopotanie, stolnikowa odezwała się po cichu:

— Agnusiu, kochanie, nie jest to taka licha rzecz, jak ci się wydaje, a dalipan znaczenia pełna...

Marcin też spojrzał, uśmiechnął się i brwiami poruszył.

W pół rozczulona, na wpół spłakana panna Agnieszka nieznacznie pierścień na palec włożyła.

Ranek był ze wszech miar wesoły i szczęśliwy; p. Marcin wyszedł zaraz do gromady sroczyńskiej; pozdrowił ją i zapewnił, że wioski już nie wypuści; wszyscy mu do nóg padali i popłakali się wszyscy. Częstowano ich potem na folwarku, a prawdę rzekłszy p. Marcin choć uspokojony sam i ludzi uspokoił, nie zupełnie był wszakże pewien, jak sobie da radę z Boguszem... Słowo się rzekło bowiem, i gdyby Bogusz na warunki przystał, nie było sposobu inaczej od niego się uwolnić, tylko opłacając mu się, aby spuścił z umowy. Cała nadzieja była w tem, że on sam drożyć się jeszcze będzie, a coraz więcej wymagać, o niczem nie wiedząc i sądząc p. Marcina w potrzebie.

Jeszcze tam wrzało we dworze, gdy bryczka zaturkotała i p. Bogusz z pisarzem grodzkim Szuszkowskim na dobicie targu się przystawił. Za nim wnet chłopak wniósł szkatułkę do sieni i siadł na niej pilnując. Struło to panu Marcinowi dobrą myśl trochę, ale powiedział sobie:

— Poczekaj że bratku, cisnąłeś ty mnie, zażartuję ja może dziś z ciebie.

Prosi tedy zaraz do izby i siadają, pani Marcinowa kazała zararaz przynieść wódkę gdańską i przekąskę, nikt do rzeczy nie przystępuje, gadają o tem i owem jakby oba sprawy unikali, tylko po Boguszu widać, że wąsa zacina niecierpliwiąc się. Po gorzałce Szuszkowski stary wyga, poprawiwszy pasa nareszcie się odezwał:

— Może by tedy nie tracąc czasu *ad rem* przystąpić?

— A czemu nie — odparł p. Marcin — siadajmy.

— Dobrze — dodał p. Bogusz — a pan pisarz nam tranzakcją odczyta.

Odchrząknął tedy Szuszkowski i dobył raptularza z kieszeni i zaraz począł, przyszedł do punktów, *ad primum*, w tem p. Marcin przerywa:

— Tego przyjąć nie mogę — rzekł — musicie zmienić. Gradobicie na mnie, pożar na mnie, a toćby już p. Bogusz winien przynajmniej rachunek, kiedy ważyć nic nie chce.

— Jak mi Bóg miły, ja od tego nie ustąpię... nie mogę, — rzekł Bogusz krótko.

— No i ja też, — rzekł uradowany stolnik.

Zamilkli jakoś; widząc, że twardo stoi przy swojem pan Marcin, Bogusz odrobinę mięknąć zaczął i na małą zmianę się zgodził, aby szkody szły po połowie. Marcin milczał, zaczęli gdy mrugnął Bogusz, czytać dalej punkt drugi, znowu *veto* stolnik kładnie, znowu spór, ale rzecz była małej wagi co do inwentarza, remanentu, zrecesował się p. Marcin, poszli dalej, punkt trzeci do wykupu. Ten był najważniejszym. Barciński podniósłszy się z krzesła powiada:

— Kochany bracie a sąsiedzie miły, toć widocznie na moją zgubę dybiesz, chcesz abym już nigdy do Sroczyna nie przyszedł, toć moja ojcowizna... zlituj się.

— Mój panie — odparł Bogusz — kołem się fortuna toczy, co dziś wasze, jutro być może moje, człek głupi, gdy ze szczęścia i losu nie korzysta.

— Aleć nie ze szkodą drugiego.

— Gdzie jeden zyskuje, wszak ktoś tracić musi.

— Proszę cię...

— Nie mogę...

— Nie możecie? — zapytał Barciński.

— Jakem szlachcic nie mogę.

— No to bywajże mi waszmość zdrów, a Sroczyna nie powąchasz! — odparł żywo stolnik.

Ten aż się porwał ze stołka.

— To tak?

— A no, tak... kwita.

— Ostatnie słowo?

— Najostatniejsze — rzekł pan Marcin sucho — napijmy się wódki, pójdźmy zjeść co Bóg dał i powrócicie sobie do domu ze swoją szkatułką...

— No to pojadę... zobaczymy czy jegomość tak łatwo innego ochotnika z pieniądzmi znajdziesz, bo o grosz gotowy codzień trudniej...

— Zobaczymy!

Przestali tedy mówić o interesie. Szuszkowski parę razy próbował pośredniczyć, ale mu się nie udało, tymczasem przyszli oznajmić, że rosół na stole, gospodarz prosił na co Bóg dał, a Bogusz zadumany powlókł się za innemi. Ale mu w gardło nic nie szło. Pocieszał się tylko mówiąc sam do siebie:

— Szlachcic goły a potrzebuje, jak go wytrzymam, to go wezmę...

Postanowił tedy trzymać. Przy objedzie choć wszyscy jeszcze byli rannym wypadkiem pomięszani, nikt o nim ust nie otworzył tylko po twarzach patrząc, począł się Bogusz domyślać czegoś, bo byli jakoś niezwyczajni weseli i dobrego humoru, a nawet na bladej twarzyczce Justysi i wybielałych jej ustach grało jakieś pół uśmiechu.

Gdy od stołu wstali, p. Marcin wcale już interesu nie zagajał, rad że go się pozbył, mówili o koniach, o stadzie, o tem i owem, Bogusz wciąż czekał czy do rzeczy nie przyjdzie, ale napróżno. Zaczynało zmierzchać, chłopiec na szkatułce zdrzemnął się w sieni, konie z pospuszczanemi łbami stały zaprzężone, a pan Marcin baraszkował jakby na świecie Sroczyna nie było.

— Jakieś tu się licho przyplątało — rzekł na ucho Szuszkowskiemu Bogusz — wczoraj był miękki jak wosk, dziś inaczej głowę nosi, jest coś nowego.

Spróbował już sam przebąknąć o zastawie, o punktach, ale p. Marcin skłonił się i rzekł:

— To już rzecz zerwana.

Bogusz aż się strząsł, ale nie było czego czekać, począł wziąwszy za czapkę stroić się do drogi.

P. Marcinowi aż ślinka ciekła, żeby sobie z niego zażartować jeszcze.

— Hej! — rzekł — chłopię wasze dobrze się w sieni na szkatułce przespało, a toście byli widzę już i pieniądze przywieźli.

Na te słowa Boguszowi ducha przybyło, pomyślał: Tu go mam.

Ale p. Marcin dodał zaraz.

— A jakąż monetą? bo byście mi nie małą przysługę wyrządzić mogli...

— At po szlachecku! ozwał się Bogusz, talary bite, i tynfów trochę.

— No tynfy mi na nic, bo to kapryśny pieniądz, ale gdybyście mi jakie tysiąc dukatów na talary zmienić chcieli, to by wam lżej było do domu, a mnie byście zrobili przysługę, srebro w drodze do wymiany dogodniejsze...

Bogusz się uśmiechnał, myśląc że mu tamten chce imponować.

— Czekaj, — rzecze w duchu — zrobię ja ci wstyd, bo pewnie i jednego hollendra w domu nie masz a tysiącem się przechwalasz...

— Po czemu chcecie za dukaty?

A szły naówczas po trzy talary bite z górą.

Bogusz na żart się zgodził po trzy i po tynfie, pan Marcin przyjął ofertę, wniesiono szkatułkę do pokoju, wyszedł na chwilę pan Marcin do bokówki i powrócił trzos dźwigając okrutny, jakby starego węgorza złowił. Bogusz osłupiał, gdy posłyszał szmer dukatów w worze, a gorzej gdy ujrzał z otwartego sypiące się hollendry gdyby gwiazdy świecące. Zdało mu się z podziwu że ich tam było Bóg wie wiele tysięcy... Więc jak trzymał klucz z sakiewką w ręku, niby mając szkatułę otwierać, tak go na ziemię zgłupiwszy opuścił.

— E! e! panie bracie — zawołał ze złością nietajoną — mądryś ty mądry! podszedłeś mnie gracko... djabli ci pieniędzy przynieśli... ale poczekaj! poczekaj! Będziesz ty mnie może jeszcze potrzebował, zobaczymy czy ja ci wysłużę.

Nie było już nawet mowy o zamianie, wnet zawołał chłopca aby szkatułkę precz zabierał, siadł na wózek nie żegnając się i pojechał tak szparko, że nawet o Szuszkowskim zapomniał.

Pan Marcin go na gawędę i wieczerzę zatrzymawszy, dopiero nazajutrz swojemi końmi do Chełma odesłał.

*

Nie myślał wcale pan Marcin taić się z tem zkąd mu Pan Bóg niespodziewaną pomoc zesłał, przy wieczerzy o niczem nie mówiono tylko o tem, a rodziły się na rachunek tego tajemniczego Żeligi najdziwniejsze domysły. (C. d. n)

Z dziedziny nauk przyrodniczych

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

Budowa owadów.

Życie owadów przedstawia nam tak pyszne i wspaniałe obrazy, tak ciekawe epizody, że poznanie go stanowi słusznie jednę z największych przyjemności entomologów. Bo i cóż jest więcej zadziwiającego jak ich obyczaje, ich prace, ich walki i wiele ich czynów instyktowych, lub ze świadomości wynikających. Słowem życie owadów — to świat cały w miniaturze! A na szczególną zasługuje uwagę budowa ciała tych zwierząt, która zupełnie jest zastosowaną do medjum, w którem żyją — zupełnie odpowiednią do sposobu życia jakie prowadzą.

Znajomość całego państwa owadów powinna być warunkiem wykształcenia każdego człowieka, z niej bowiem nie jeden przykład, nie jedna szlachetna pobudka zaświecić i natchnąć by go mogły do naśladowania wielu ich czynów. Tem większą przywiązujemy wagę do znajomości tych gatunków, które ciągle przed oczami naszemi się przesuwają. Z nich wiele mamy szkodliwych, lecz więcej pożytecznych.

Ciało każdego owadu składa się z głowy, tułowia i odwłoka, a dwie te części ostatnie razem wzięte stanowią kadłub. Z tułowia wyrastają odnoża, a jeżeli owad jest pzeznaczonym do wznoszenia się w powietrzu, wyrastają zeń i skrzydła. Górna część głowy po większej części opatrzona jest po bokach oczami siatkowatemi t. j. złożonemi z mnóstwa, bo aż do sześćdziesięciu tysięcy oczek lub też i przyoczkami, czyli pojedynczemi, mieszczącemi się na ciemieniu. Głowa cała za pomocą błonkowatej szyjki połączona jest z tułowiem i uzbrojona rożkami najrozmaitszego kształtu. Rożki te, czyli czułki, są organami zmysłu dotykania, czułość ich jest tak wielką, iż trudno zdać sobie o niej sprawę; często też prawdopodobnie służą one jako organ powonienia, ztąd też i budowa ich jest bardzo rozmaitą, składają się jednak zawsze z pewnej ilości członków bądź równej, bądź odmiennej wielkości i kształtu, a całość przedstawia się w kształcie bądź długich włosów, nitek, lub sznureczków, bądź nierównych zębiastych maczug, lub pałek, prostych, pogiętych i t. p. Pyszczek do ssania lub gryzienia przeznaczony, składa, się z kilku części, które w budowie swej nie mniejszą przedstawiają rozmaitość jak członki rożków. Zawsze jednak części te są to przeobrażone odnoża. U wierzchu widać naprzód górną wargę (labrum) przytykającą do tarczy głowy, dalej szczęki górne (mandibulae), których ruch zawsze poziomy, pod niemi dolne szczęki (maxillae), dolna warga (labium) z językiem a czasem i dwoma przyjęzyczkami (paraglossae), umieszczonemi przy nasadzie języka. Oprócz tego na szczękach dolnych i dolnej wardze są przysadki nazwane głaszczkami wargowemi, lub szczękowemi. Cały ten przyrząd gębowy owadów rozdziela się na narzędzia żujące, ssące i zliżujące, i często tworzy tak zwaną trąbkę, czyli ssawkę, którą owad wysysa potrzebny mu płyn do pożywienia.

Odnoży ma owad doskonały zawsze trzy pary, które złożone są z kilku części i zakończone stopą, utworzoną z jednego do pięciu członków, z których jeden ostatni kończy się zwykle dwoma haczykowatemi pazórkami. Na podeszwie niektóre owady pomiędzy pazórkami posiadają bańkowatą przylgę, za pomocą której czepiać się mogą gładkich przedmiotów. Względnie do sposobu życia owadu ma on rozmaicie ukształtowane swe odnoża, które w ścisłym zostają związku ze sposobem ich używania, są n. p. biegowe, chodowe, skoczne, grzebne, pływne i t. p. U niektórych dziennych motylów przednie odnoża zamienione są w omiotki czyli sędełka.

Skrzydła nigdy nie przechodzą dwóch par u owadu, a znajdują się tylko u tych, które już zupełnie przeobrażeniu uległy, i których przeznaczeniem jest latać w powietrzu. Nie zawsze obie pary służą do latania, niekiedy przednie do ochrony tylnych i wtedy zwą się pokrywami. Po budowie skrzydeł i ich użytkowaniu rozróżniamy kilka osobnych rzędów tych zwierząt.

Najwięcej godnym uwagi jest sposób oddychania. Przyrząd oddechowy nie składa się jak u ssaków z płuc umieszczonych w przeznaczonej na to klatce piersiowej, lecz z tchawic w kształcie rurek i torebek, które szczególnie u dobrze latających owadów, mogą się nadymać powietrzem jak balon, lub zwężać, a przeto gatunkowo lżejszem czynić ciało zwierzęcia. Tchawice czyli dychawki, których wielkość u każdego owadu jest najrozmaitszą, od niedojrzanych bowiem nawet pod mikroskopem, aż do widocznych gołem okiem, rozkrzewiają się i zapełniają wszystkie wnętrza ciała, układem swym zdumiewając badaczy. Powietrze dostaje się do tego przyrządu przez wąskie otwory zwane przetchlinkami (stigmata) a leżące na tułowiu i po bokach półpierścieni grzbietowych, odwłoka, przechodząc zaś przez liczne gałęzie dychawek, napełni sobą całe ciało owadu. Nie jest to jednak jedyny sposób oddychania owadów. W zeszłym (1875) roku p. Wolff badając organ powonienia pszczoły, przyszedł do rezultatów, które kłam zadają twierdzeniom dawniejszych badaczy, jakoby owady tylko powietrze wdychały za pomocą przetchlinek, owszem ze wszech miar zajmujące badania Wolffa utwierdzają nas w przekonaniu, że owady oddychają także i za pomocą wciągania gębą powietrza, że posiadają przeponę (diaphragma) oddzielającą klatkę piersiową od żołądka i drugą u wejścia do odwłoka, że każda część ciała owadu oddycha jednocześnie choć osobno, a nadto badania te wykazały nie znany dotąd organ powonienia i smaku na tylnej stronie miękkiego podniebienia w tem samem miejscu jak to u ssaków ma miejsce. Jeżeli odkrycie to się sprawdzi, ogromnej będzie wagi, rozświeci bowiem, a raczej przyczyni się do rozświecenia nie jednego objawu w życiu owadów błonkoskrzydłych a nadto jednym jeszcze dowodem wesprze teorję pochodzenia Häckla wszystkich zwierząt z jednej wspólnej formy.

Właściwego serca żaden owad nie posiada, lecz w miejsce jego *naczynie grzbietowe*, które w postaci wydłużonej torebki, umieszczone w osiowym kierunku ciała, wzdłuż linji grzbietowej, i u odwłoku przymocowane za pomocą obejmujących je na kształt skrzydeł mięśni, najgłówniejszą jest częścią przyrządu krążenia krwi. Naczynie to przy tułowiu zgięte na kształt $\mathcal{S}$ sprawiedliwie nosi nazwę serca, wchodzi bowiem aż do głowy po nad gardzielą, opatrzone zaś będąc bocznemi otworami do przyjmowania krwi z zewnątrz, podobną ma funkcję do serca innych zwierząt. Obieg krwi u owadów nie ma prócz grzbietowego naczynia innych, li dla siebie przeznaczonych kanałów, lecz przez przestrzenie zamknięte w ścianach dychawek i ich włoskowatych rozgałęzień się uskutecznia. Tam krew odświeża się powietrzem wewnątrz tchawic krążącem, które od niej tylko cieniutką błoną jest oddzielone — błoną, dozwalającą na przesiąkanie i wymianę gazów, jak w płucach zwierząt kręgowych. Wymiana materji w ciele owadu często jest tak wielką, iż wskutek niej owady ciepłą krew posiadają, co szczególnie u pszczół i łuskoskrzydłych dowiedzionem przez M. Girarda i Newporta zostało.

Rozwój owadu od jaja, z którego się wykłuwa, aż do zupełnej dojrzałości, jest nader zajmującym. Żaden owad ze skrzydlatych nie rodzi się odrazu doskonałym, lecz przejść musi tak zwany proces *przeobrażenia* czyli metamorfozy. Tylko bezskrzydłe, częścią pasożyty, wychodzą odrazu z jaja doskonałemi (insecta ametabola), u owadów zaś, które podlegają przeobrażeniu, to ostatnie znów nie jest zawsze jednakowem; bywa bowiem zupełne i niezupełne. W ostatnim wypadku *czerw* wykluty z jajka bez żadnych form przejściowych zmienia się po pewnym przeciągu czasu w skrzydlaty owad, nigdy nie przyjmując na siebie postaci *poczwarki* (pupa s. chryzalis), jak to ma miejsce przy zupełnej przemianie innych owadów. Te zaś owady, które w procesie przemian przyjmują na się stan poczwarki, nie zawsze wprost w doskonały owad przejść mogą, muszą bowiem wprzód przebyć jakiś czas *łątką* czyli *nimfą* (nympha), nim zaszczytu tego dostąpią.

Przy takiem przeobrażeniu wylęgłe *gąsienice* z jaj doskonałego owadu bywają albo beznożne i zwą się wtedy *czerwiem*, jak to u much naszych ma miejsce, albo też oprócz nóg wyrastających z tułowia posiadają jeszcze tylne wyrostki, służące im do posuwania naprzód ciała i noszą wtedy nazwisko *liszek*, które w rzędzie motylów są zwykłe. Inne gąsienice zwą się zwykle zwyczajnem swem mianem gąsienice, z wyjątkiem gąsienicy zwyczajnego *chrabąszcza majowego* (melolontha vulgaris), którą nazywają *pędrakiem*.

Zadaniem gąsienicy jest jeść o ile można najwięcej i na swojem tłustem ciele zbierać materjał na przeciąg swego przyszłego żywota; gdy go zebrała, wtedy zasklepia się w oprządzie własnej roboty, lub zostaje zasklepioną w domku przez swych współbraci wybudowanym i powoli po raz ostatni zrzuciwszy powlekającą ją skórkę, przemienia się w łątkę, lub poczwarkę. Jeżeli tak w koszulkę odziana, ma skulone zewnętrznej powłoki nogi, zowie się wtedy poczwarką okrytą (pupa obtecta), jaką jest zwykle u motyli w przeciwstawieniu do poczwarek chrabąszczy, które są wolne (pupa libera), bo nogi ich zupełnie od ciała odstają.

Podczas więc rozwoju swojego, owad kilkakrotnemu podlega lenieniu, kilkakrotnej przemianie, aż ostatnią z siebie zrzuciwszy skórkę, wyskakuje żwawy i wesoły doskonałym (imago). Lecz i ten choć kształtem i budową zupełnie jest takim, jakim już do śmierci pozostanie, ciało jednak jego miękkie przez pewien jeszcze przeciąg czasu musi oswajać się z warunkami, w których mu żyć przyjdzie, nie raz zaledwie krótkich chwil kilka — oswajać, twardnieć i uczyć się poruszać czułkami, pracować skrzydłami i nóżkami; powol

więc dopiero rozpościera skulone swe ciało i zostaje na świecie na to, by już nie dla siebie, lecz dla rodzaju swojego pracować. Doskonałego bowiem owadu zadanie częstokroć jest tylko używać słodyczy roskosznej miłości, rozmnażać liczebnie swój rodzaj.

Istnieją pomiędzy owadami przedstawiciele rodzaju, którzy doszedłszy do zupełnej doskonałości swych kształtów, przeszedłszy wszystkie koleje dziwnego swojego żywota, pozostają rano doskonałym owadem, a poigrawszy wśród złotego słońca promieni jeden krótki tylko dzionek, wieczorem żegnać się muszą z swoją współbracią, gdyż przez lekkomyślną kochankę szkaradnie okaleczeni, wśród mąk i boleści umierają.

Ta ciągła maskarada w ciągu życia owadów, ta ciągła przemiana ich kształtów nie jest bez celu w przyrodzie. Natura rozdziela te drobne zwierzątka po różnych zakątkach kolosalnego swego mieszkania — rozdziela je i każdemu przeznacza osobne zajęcie na ziemi, w powietrzu, lub w wodzie. Istnieją owady, których gąsienice dni dzieciństwa swego przepędzają w wodzie, potem w młodości zakopują się w głąb ziemi, by niewidziane przez nikogo, przebyć konieczny stan poczwarki, z tamtąd wychodzą w skrzydła opatrzone, by wiek swój dojrzały swobodnie wśród niezmierzonego oceanu powietrza spędzić. Wprzód żywiły się korzonkami, lub ziemnemi robaczkami, później grymaśne smakosze lubią tylko owoce, ich sok słodki, lub krew i mięso innych zwierząt.

Przemiany te, którym wszystkie skrzydlate mniej lub więcej podlegają, nie zasadzają się tylko na zewnętrznych kształtów zmianie, lecz sprowadzają za sobą często przeobrażenie wewnętrznych organów, jak żołądka, jelit i trzewiów, przyuczają zwierzę do innych potrzeb, do innych żądz i sposobu życia i tem to właśnie wytłumaczyć sobie można to tak różne życie w jednym osobniku a w rozmaitych istnienia jego okresach.

Stosownie do organizacji pyszczka w każdej epoce istnienia owadu, ma on przeznaczone przez naturę dla siebie pożywienia. Są między niemi złośliwe, jadowite i gryzące; są mięsożerne, które wspólnie z krukami i sępami ogryzają pozostałości ścierw porozrucanych po ziemi, a przez to stają się użytecznemi, oczyszczając ją od nieczystości, a od zatrucia zabezpieczając atmosferę.

Są znów żyjące tylko roślinnemi cząstkami. Z wiosną gdy słońce ogrzeje ziemię i wyprowadzi z niej nowe pędy drzew i roślin, całe legje owadów i ich zarodowych gąsienice budzą się ze snu zimowego, wyłażą z ziemi i rozkrywając pieluchy swoje, rzucają się chciwe żeru bez litości na rozwijające się listki, lub kwiaty i młodociane zioła. I w cóż by obróciły się nasze pola, sady i lasy, jakiemu uległy by zniszczeniu pod napadem nienasyconych tych łupieżców, ostremi szczękami, jakby nożycami uzbrojonych, gdyby nie pomoc tej samej przyrody, która nielitościwe te pułki wysłała?! Owoż nie długo po tym strasznym najezdniczym narodzie owadów od krańców południowego horyzontu, na skrzydłach wiatrów niesione, przylatują lekkie szwadrony śpiewaków, świetnemi odziane piórami. Wesoło śpiewając spieszą w nasze północne strony ci szczęśliwi południa mieszkańcy — spieszą, bo czeka ich suto zastawiona uczta, z tysiąca gatunków owadów złożona. Ptaki te więc zaciętą wydają wojnę małym łupieżcom dziennym, na nocnych zaś brzydka i łakoma familja nietoperzy, jak bicz boży z rozmaitych zakątków i szczelin wylatując, poluje. Ich bystry wzrok i przenikliwy w ciemnościach, jak tamtych w śród dziennej światłości, a obydwóch zawsze szybki lot wybornym są hamulcem nadzwyczajnego rozmnożenia się tej strasznej plagi, jaką w nadmiernej liczbie stanowią owady i ich gąsienice.

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy
JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Malakal dnia 1 Kwietnia 1872 r.

Jak rozruszana igła magnesowa z trudnością wskaże drogę zbłąkanemu żeglarzowi, tak i mnie przygnębionemu samotnością, życie często niewyraźnie cel ukazuje. Bo chociaż ostatnim celem moim jest wiedza, a środkiem praca, przecież pospolici śmiertelnicy mają inne jeszcze cele, a przynajmniej pragnienia. Takim celem moim jest ojczyzna, a pragnieniem widzieć ją jeszcze wraz z tymi, w których sercach mam zawsze mój kącik. Ruszam więc na północ ów stały kierunek magnesu i moich myśli.

Daremnie upływają miesiące pożerającej niecierpliwości, tęsknoty trudnej do owładnięcia. Każdy dzień jest bolesnem rozczarowaniem — daremnie wyglądam na bezgraniczny niemy Ocean, żagiel niestety od czterech miesięcy oczekiwany nie przybywa i kto wie jak długo jeszcze każe mi czekać na wiadomości z Europy, z Polski, od rodziny mojej i przyjaciół. Nie ma nic przykrzejszego jak być od tego wszystkiego 16.000 mil oddalonym, a jednak w duchu nie czuć rozłączenia. Szczęśliwi co mogą zapomnąć swą kolebkę, szczęśliwi co mówią: tam ojczyzna gdzie dobrze, oni potrafią zapomnieć i są zadowoleni z tej zdolności.

Pomimo najusilniejszych starań oszukania samego siebie, zawalenia ducha pracą, zajęcia wyobraźni wycieczkami często niebezpiecznemi i na chwilę chociaż zdolnemi oderwać mię od tamtych stron i ludzi, pomimo tego wszystkiego czuję, że chwile przypomnienia stają się coraz natarczywsze. Chęć ujrzenia swoich, lub chociaż usłyszenia czegoś od nich, wzrasta codziennie, drażni mnie i spokój odbiera, a tu miesiące na list trzeba czekać cierpliwie.

Nareszcie okrzyk „Dial!“ „Dial!“ okręt! okręt! huknął gromem stu huraganów w pustelniczym mym domku. Cała moja wysepka mała w poruszeniu, zdaje się że wszystko tu poczuwa radość moją, gromady dzikich otaczają nagle mój pałac wołając: „Dial!“ i biegną na wybrzeże, ptaszki jakby weselej i żywiej świegocą, podlatują i skaczą w poważnie się kołyszących palm koronach, ja jestem w ogniu radości, ciekawości i nadziei.

Ledwie czarny punkcik na widnokręgu okazuje szczyt wielkiego masztu, okręt wiele jeszcze mil jest oddalony, ale cóż to znaczy, skoro bliżej jak dalej.

Już żagle mej łódki wesoło trzepocą, jeszcze chwila i ster w mem ręku, woda rozdarta pryska pianą, pędzę na otwarte morze, na spotkanie miłego, tak dawno oczekiwanego gościa. Niknie brzeg za mną, nikną ryfy, ląd maleje, ów punkcik na widnokręgu tymczasem się podnosi, dwoi, troi, bieleje, pełnemi żaglami pędzi trójmasztowy okręt, a moja niecierpliwa „Warszawa“ samowtór ze mną zawstydza szybkością dymiącego olbrzyma. Nareszcie, nareszcie... okręt nas widzi, flaga hamburgska wyrywa się do góry i barwistą szyję swoją wyciąga jakby dla uściśnienia mojej trójkolorowej „Warszawy.“ Huk z sygnałowej armaty mile mnie wita, jeszcze chwila i lina rzucona z okrętu porywa łódkę w szalonym biegu i nakoniec stoję na pokładzie i witam kapitana Niemca niestety, jakby mego pra-pra-dziadka. Ściskam go, kocham, gdyż mi przynosi nowinę, nowiny z Polski od moich. Naturalna rzecz, że przedewszystkiem rozczulony Niemiec zaprasza mnie na „ein Glas Bier!“ a ja chciałbym go wrzucić do morza, wydarłszy mu wprzódy moje listy. Po pierwszych formalnościach, przywitaniach i przedstawieniach, pytam gorączkowo „gdzie moje listy, listy czemprędzej.“ Kapitan oddala się do swej kajuty, roztwiera pudła, przewraca puszki, gwałtowny rumor, znajduje wreszcie i... wydzieram mu z rąk miły pakiet. O wy Kality, Pelawskie i Japskie bogi! dzięki wam za tę chwilę. Już niemiłemi mi były podarki i zapasy jakie mi pan Godeffroy przysłał, piwa antał i beczka wina, pudło cygar, bo do kogoż pić będę tym nektarem?

Była to uroczysta chwila na wyspach Pelawskich, chwil takich dostarczajcie mi więcej, a będę zupełnie szczęśliwym. Wiadomości wszystkie z Warszawy i Hamburga były mi drogie i pomyślne, znać zdrowi i pamiętają o mnie. Niemcy kontenci ze mnie i z prac moich, czegoż więcej mam pragnąć?

Okręt za dni kilka podnosi kotwicę, wyrywam się więc z pośród wesołej „kompanji“ Niemców żeglarzy i pospieszam spłacić dług wdzięczności tym, którzy drodzy są sercu mojemu. Między innemi wiadomościami o sobie, opiszę wam dziś jednę ze scen, które mi życie tutaj wypełniają, mianowicie wyprawę moją do Artingalu. Przez Artingal trzeba rozumieć cztery dystrykty tj. Ngorszul, Engkaszar, Molegojak i Ngiwal, zaludnione przez plemiona nieprzyjazne drugiej połowie wysp Pelawskich, tej połowie, na której ja mieszkam tj. Koryoru. Już dawniej udało mi się na jeden dzień udać w te strony, gdzie Iraklaj, król Artingalu, bardzo gościnnie mnie przyjął i zyskał mą serdeczną sympatję. Chwilowa ta wizyta musiała być zachowaną w tajemnicy ze stron obu dla niepokojenia Koryaru, ale przyrzekłem królowi, że później tutaj przybędę i tydzień przynajmniej zostanę. Przyrzeczenia tego dotrzymać przez kilka miesięcy nie mogłem, gdyż Koryor ciągle stawiał mi różne przeszkody. Naczelnicy Koryoru otoczyli mnie siecią intryg i kłamstw, a to dla tego, by mnie wstrzymać od udania się między ich wrogów, pomiędzy którymi żaden jeszcze biały Europejczyk nie postał. Dziwna rzecz, że Koryorczycy zdołali przez prawie 100 lat wszystkich Europejczyków oddzielić od Artingalu, lecz dla tego właśnie ciekawość moja poznania tej części wysp Pelawskich coraz wzrastała.

Oburzałem się na myśl, że ponieważ Koryorczycy nie życzą sobie by ich bracia poznali nas i przez to się wzmocnili, ja miałem uledz i opuścić Pelau bez dokładnego zbadania tych wysp. Oburzałem się tem bardziej, że uprzedzenia i zawiść tutejszych zarozumiałych krajowców były w zarodzie niesprawiedliwe i mnie pod każdym względem szkodzące. Jako eksploator winienem iść naprzód choćby w paszczekę szatana, jeżeli tam znajdę coś nowego, a tu tylko zgraja łżących kanaków chciała mnie wstrzymać. Choć więc oni zamordowali kapitana Cheina za

to, że się udał ze swoim okrętem na wrogie brzegi, postanowiłem bądź co bądź dopiąć mego celu.

Po kilku miesięcznych swarach i dyplomatycznych konszachtach, zdołałem nareszcie wydusić formalne pozwolenie ze strony Koryoru i nic już nie stawało na przeszkodzie dopięciu dawno zamierzonych planów.

W towarzystwie pewnego Chińczyka i jednego odważnego krajowca z Koryonu, puściłem się na mej zwinnej łódce wzdłuż wschodniego brzegu wyspy Baobeltaob.

Wybrzeże to przedstawia się jako dwadzieścia kilka mil długi krajobraz. Jest to perspektywa wysuwających się z po za siebie przylądków, skalistych i pokrytych gąszczem, ujętych lazurową laguną. Obraz ten z lewej strony obramia się ryfem wstrzymującym wały Oceanu, ryfem ciągnącym się dziesiątkami mil w wolnych zakrętach, póki na granicach widnokręgu nie zlewa się z ostatnim przylądkiem, na którym rozpościera się gród Molegojoku. Na lewo — bogatą roślinnością pokryte pagórki Baobeltaobu wznoszą się nad wybrzeżem i maleją w oddali. Po nad tym obrazem lazurowe niebo i żar słońca, chłodzony nieco podmuchem połudnowego monsoonu, na którego skrzydłach mijamy szybko zatokę Ngorszulu, przylądek Ngarangaszany, gród Engkanau, wysepkę Ngarulaj, aż nareszcie biały piasek wybrzeża Molegojoku zaskrzypiał pod dnem naszej lekkiej nawy.

Znając krajowe zwyczaje i mowę, jakoteż i miejscowość tutejszą z mojego poprzedniego pobytu, bez trudności się zorjentowałem. Na tamie broniącej w razie potrzeby wybrzeża, stoi ogromny budynek drewniany, którego struktura przypomina nasze stodoły, jeno że wyższy i że fronton jego ozdobiony licznemi rzeźbami snycerskiej roboty w drzewie, których treść ma ilustrować historyczną przeszłość tych wysp i różne legendy, a także wielkie czyny bohaterów. Tu dostrzegłem także rzeźbioną postać owego tajemniczego Gawiala. Gmach ten jest to „Baj“ czyli wielki dom, przeznaczony dla klubu wojowników i w którym przybysze się zatrzymują, nim do właściwego zamierzą się udać Molegojoku.

Przybycie moje dawno oczekiwane i pożądane, nie zostało niespostrzeżonem. Brunatne postacie żywo poruszały się na wybrzeżu, a mężowie zgromadzeni w owym domu, zwanym specjalnie „Ngaragoluk“ z oznakami szczególnego uważania, zaprosili mnie wewnątrz, przeznaczając mi pierwsze a honorowe miejsce tj. okno od frontu.

Wkrótce zawiadomiony Iraklaj, przybył osobiście mnie przywitać. Dwa cenne kalebuki wisiały w jego uszach, znak bogactwa, ale zarazem wielkiego poważania dla mnie, gdyż tylko podczas ważnych i uroczystych wydarzeń król i naczelnik takich cennych zauszników używa.

Po publicznem a ceremonialnem przywitaniu, podczas którego wszyscy naczelnicy się zgromadzili, ruszyliśmy do grodu, a obecni krajowcy pochopnie podążyli do mego czółna. Po chwili wszystko było na suchym lądzie, i moje pakunki podążały za nami na barkach miedziannych tragarzy.

W „Udusz“ jak się urzędownie rezydencja Iraklaja nazywa, nastąpiło prywatne przyjęcie, podczas którego poznałem całą familję mojego koronowanego gospodarza. Po krótkim posiłku udaliśmy się do Ngalbartelbaju, domu narad, gdzie i moje pakunki zostały złożone i gdzie miałem mieć moją główną kwaterę. Dom narad jest to budynek około 70 stóp długi i 20 szeroki, wewnątrz jest on bez przedziałów, o jednym tylko obszarze. Osoby siedzą, jedzą i śpią na podłodze z gładko wypolerowanych desek pokrytych miękkiemi roślinnemi matami.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

III.

Według historyków ówczesnych rozpusta w Moskwie przechodziła wszelkie granice możliwe. Głównemi miejscami rozpusty były karczmy, gdzie przedawała się wódka, tytoń, kobiety, i gdzie nieustannie panowała gra hazardowa. Dochody z tych zakładów były tak wielkie, że właściciele chętnie narażali się na knuty, któremi ich bili, gdy dowiedziono, że trzymali podobne zakłady. Władze wreszcie brały ogromne łapowe od takich karczmarzy, że za to patrzyły przez palce na to co się tam działo. Niektórzy wojewodowie sami utrzymywali domy rozpusty. Drugiem miejscem rozpusty były publiczne łaźnie. Zepsucie doszło do tego stopnia, że ojcowie frymarczyli córkami swemi, bracia siostrami, a mężowie żonami. Niektórzy bojarowie przy carze Aleksieju mieli haremy całe u siebie. Na granicach Syberji Moskale napadali na sąsiednie dzikie plemiona, zabierali ich żony i dziewczęta; sprzedawali je potem innym. Gdy któremu znudziła się żona lub nie miał pieniędzy na wódkę, sprzedawał ją temu, kto dał więcej, a potem kupował sobie drugą lub kradł ją u fińskich plemion mieszkających we wschodniej części Rosji. Wielcy urzędnicy Syberji nabierali w niewolę bardzo wiele sybiraczek i prowadzili niemi handel na wielką skalę. W 18 wieku jako kubana dawano często młode dziewczęta. Położenie tych dziewcząt było okropne, w całem znaczeniu tego słowa.

W czasie wojen Moskale byli okrutni jak dzikie zwierzęta: dzieci małe kłuli pikami, kobietom odcinali piersi, hańbili, i zabijali, bawiąc się jak strzelaniem do celu. Tak postępowano nie tylko z wrogami, lecz i ze swoimi w czasie walk i wojen domowych. Historycy tych czasów mówią, że kobiety mniej cierpiały od Tatarów, jak od własnych braci. Włosy powstają na głowie czytając jakie okropności popełniał Iwan Groźny i jego wspólnicy. „Nieraz—powiada naoczny świadek, — kazał on przyprowadzić do pałacu najpiękniejsze dziewczęta, które były w stolicy, i jeżeli która oparła się brutalnej woli jego, odsyłał do domu, rozkazując siepakom swoim wieszać je za nogi nad stołami, przy których jadali ich rodzice i bracia; tym ostatnim zabronionem było jeść objad lub kolację na innem miejscu, jeżeli nie chcieli pożegnać się z życiem w najokrutniejszy sposób. Zwłoki wisiały dopóty, póki ojcowie i krewni po długich błaganiach nie otrzymali pozwolenia pogrzebać biednego dziecka. Iwan Groźny mieniał się kochankami z synem swoim Iwanem. Gdy jedna z nich poskarżyła się, że kobiety śmieją się z niej, Groźny tak się rozgniewał, że rozkazał wyciąć w pień wszystkie kobiety znajdujące się w stolicy. Chociaż książęta, bojarowie i faworyci odwiedli go od tego zamiaru, car jednak kazał przyprowadzić do Kremlu kilkaset kobiet z najznakomitszych rodzin, rozebrać i pędzić je kilka godzin po śniegu w czasie mroźnej zimy w obec swojej rodziny, bojarów i przydwornej czeladzi. Niektóre kazał zasiec rózgami na śmierć, a trupy ich rzucić na pożarcie niedźwiedziom, bo podobne widowiska lubił bardzo Groźny i jego rozpasane na wszelką rozpustę otoczenie. W czasie częstych podróży swych po kraju z miasta do miasta, nakazywał rozbierać spotkane dziewczęta i kobiety i trzymać je na mrozie, dopóki cały orszak nie przejechał. Kobiety bardzo się go bały, lecz Iwan miał wszędzie szpiegów swoich, którzy łowili każde nieostrożne słówko i nieumiejące milczeć, wiązali i wieszali lub rąbali na kawałki. Już w czasie swej ostatniej choroby, gdy zaczął gnić za życia, zapalił się starzec miłością do żony syna swego. Na krzyk jej przybiegło wielu przydwornych i sług. Iwan przebaczył Irenie za jej opór, ale kazał śmiercią ukarać wszystkich świadków tej obmierzłej sceny.“ (Petrej).

Wszystko to co wyrabiał Groźny, nie było bezprzykładnem zjawiskiem w moskiewskiej historji. Toż samo, chociaż ma się rozumieć w mniejszych rozmiarach, robili wszyscy silni i groźni ludzie, zaczynając od wojewodów a kończąc na rozbójnikach. Ludzie zaś słabi lecz bogaci, jak naprzykład kupcy, kupowali kobiety, a gdy te się im sprzykrzyły, wypędzali z domów swoich, nieraz z dziećmi i bez żadnych środków do życia.

Lecz jeżeli rozpusta mężczyzn nie miała granic, kobiety nie były lepsze. Wyższa ich klasa odznaczała się szczególnie wyuzdaniem. Za typ moskiewskiej Messaliny może służyć matka Iwana Groźnego, która rozpustę posunęła do tego stopnia, iż obudzała oburzenie nawet w ludziach tak zepsutych jak ci, którzy otaczali cara.

Przed reformą Piotra zamykanie kobiet ustało, wtedy to okazało się do czego były zdolne moskiewki. Carówna Zofja, siostra Piotra, żyła jak najrozpustniejsza kobieta. Carówna matka otwarcie oddawała się rozpuście. Gry, zabawy, piosnki były przesiąknięte erotycznym zapachem. Żaden naród nie używa takich brzydkich słów w łajaniu jak Moskale. Wyrazów tych bezwstydnych używały nietylko dziewczęta i dzieci, ale i popi w cerkwi i przed ołtarzem.... Mnisi i mniszki nie byli lepszymi od wszystkich. W tym też samym czasie zaczęły szerzyć się najróżnorodniejsze sekty religijne w Moskwie jedna od drugiej niemoralniejsza. Rozpusta prowadziła do dzieciobójstwa, które w Moskwie i dziś dochodzi do zastraszających rozmiarów, a które w pewnych sektach uważa się za religijny obowiązek, bo niewinne dzieci modlitwą swoją mogą uprosić u Boga przebaczenie dla grzesznych rodziców. Lecz zatrzymajmy się na tym szkicu obrzydliwego obrazu, któryśmy skreślili razem z autorem „Historji moskiewskiej kobiety.“ Pióro odmawia posłuszeństwa do napisania szczegółów; uszy nasze nie przywykły do tych szkaradnych tonów, a oczy nie zniosą tak krzyczącego kolorytu!

Rozpusta kobiet, powiada autor, była protestem ich przeciw ograniczeniu swobody. Te ograniczenia jednak z biegiem czasu zaczęły słabnąć. W niektórych miejscach w końcu 17 wieku w wypadku oporu dziewczyny nie wydawali jej za niemiłego; w niżegorodzkiej gubernji rodzice w kościele przysięgali, że oni nie zniewalają dziecka swego do małżeństwa. W innych

miejscach dziewczęta uciekały z domu porozumiawszy się z kochankami i wychodziły za mąż bez pozwolenia rodziców. Najczęściej małżeństwa takie nie miały kościelnego charakteru: wzajemna zgoda na połączenie zastępowała błogosławieństwo kościoła. Tym sposobem ślub cywilny uzyskiwał coraz szersze prawa obywatelstwa w Moskwie, szczególnie między roskolnikami. Rodzice musieli przyjąć fakt dokonany, musieli uznać żonę i dzieci syna za prawne, a w wypadku śmierci zięcia, utrzymywać ją, dawać wychowanie dzieciom i robić ich spadkobiercami swego majątku. Kobieta połączona z mężczyzną w ten sposób nazywała się żoną nawet w obec prawa; na jej imię kupowały się domy, majątki i fabryki. Tak trwało aż do panowania Mikołaja. On kazał uważać podobne małżeństwa za rozpustę i prześladować je, odejmując wszelkie prawa takiej małżonce i jej dzieciom. Wtedy kobiety znowu zaczęły starać się o nadanie małżeństwu prawnych form, przez zawieranie ślubów w kościele. Moskiewskie prawa majątkowe w końcu 17 wieku były bardzo korzystne dla kobiet. Dziewczyna, nie mająca brata mogła otrzymać w spadku ziemski majątek, a przy braciach utrzymywała wiano tylko, lub część majątku ojcowskiego. Za dawnych czasów majątek żony zostawał w zupełnym rozporządzeniu męża, lecz w końcu 17 wieku nastąpiła rozdzielność majątków i żona mogła być takąż właścicielką jak i jej mąż. Mogła rządzić swoim majątkiem, kupować lub sprzedawać nie pytając o zgodę męża. Po śmierci męża majątek żony i wiano zostawały przy niej, oprócz tego mężowie zapisywali często żonom swoim na przeżycie część swego majątku, a nawet i cały jeżeli były dzieci. Rola właścicielki zaczęła rozwijać w kobiecie niezależność charakteru. (C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

Zadaniem sztuki rzeźbiarskiej jest odtworzenie zupełnego kształtu zewnętrznego tworów organicznych. Dały jej początek duma królów i potrzeby religijne narodów, ponieważ chciano bądź uzmysłowić bostwo, bądź uwiecznić rysy mocarza, albo czyny jego. Brano tedy bryłę kamienia i łupano ją na kształt ciała ludzkiego albo zwierzęcego. Gdy z bryły zupełną podobiznę człowieka lub zwierzęcia wyłupano, tworzono posąg; z kilku posągów z jednego głazu powstawała grupa. Gdy grupa, zresztą zupełnie wykończona, jednym bokiem do głazu przyrosła, stawała się z grupy wypukłorzeźbą. Gdy wreszcie zarys podobny do rysunku powstającego po obkreśleniu cieniu na głaz rzucono, rzeźbiono płaskorzeźbę, nabierającą życia i wartości w miarę tego, jak rysy twarzy i fałdy szat w przestrzeni zarysem objętej zlekka przypominano.

Jak wszystkie inne sztuki, tak i rzeźba zjawiła się najpierw w Europie, i to u Greków. Obrabiali oni z razu kawał pnia, albo słup kamienny na niekształtne podobieństwo bóstwa, i do najpóźniejszych czasów takie bałwany za najświętsze uważali. Z czasem jednak, przypatrzywszy się lepiej kształtom ludzkiego ciała, nauczyli się odtwarzać z białego marmuru wszystkie mięśnie i wklęsłości na umiejętnie odmierzonych członkach. Nie odważano się jednak ruchu nadać kamiennej postaci, ani bryły rozczłonkować, obawiając się by się pod własnym ciężarem nie skruszyła. I tak powstała tak zwana archaiczna sztuka grecka. Najpiękniejszym jej okazem Apollo znaleziony w Terze, a przechowywany w świątyni Tezeusza w Atenach, od której jest starszym o lat kilkadziesiąt.

Apollo ten jest właściwie wypukłorzeźbą; przyrósł bowiem plecami do kamiennego słupa, od którego go jeszcze oderwać nie śmiano. Postawą i szatami nawet naśladuje posągi egipskie, i jest rozmiarów o wiele większych od zwykłych rozmiarów człowieka — a więc kolosalnych. Pierś jego bardzo szeroka, i naprzód wysunięta jest najwybitniejszą częścią całej postaci. Ramiona przyrośnięte do boków, a prawa noga naprzód wysunięta. Rysy twarzy są to rysy greckie, to jest idealne, takie, jakie można rozumowo wyabstrahować jako typ i średnicę rysów ludzkich, równie odległych od płaskiej twarzy czerwonej skóry, i od płaskiego lica Chińczyka. Nos u niego prosty zupełnie, czoło niezbyt wysokie i twarz owalna. Porostu na twarzy nie ma żadnego. Czoło zakryte egipskim czepcem, egipska tiunika na lędźwiach.

Sztuka archaistyczna naśladowała już wiernie kształty tworu najdoskonalszego. Naśladowanie takie równało poniekąd człowieka z wyższą istotą, z boskim światów robotnikiem, budziło podziw dla niebywałej zręczności artysty, i cały rodzaj ludzki w świetniejszych przedstawiało kolorach. Posąg Apollina jest podobnym do ideału człowieka, ale o wiele większy rozmiarami, potężniejszą przypomina istotę, tylko że nieruchomy i pozbawiony życia zimą i śmiercią razi.

Naśladownictwo martwoty owej nie starczyło w krótce Grekom. Religijna, cmentarna groza musiała ustąpić uludniejszym pozorom prawdy i życia. Odłączono posągi od filarów, na których się opierały, ubrano je we włosy i porost odpowiedni wiekowi, nadano wreszcie ruch i życie członkom i przyobleczono je w szaty greckie. U ludzi naśladowano strój ich zwyczajny, bogom nadano opiewane przez poetów znamiona.

Z czasów już swobodnych, ale jeszcze niedoskonałych, posiadamy dziś niejedno dzieło. Pomiędzy niemi najwybitniejsze miejsce zajmują tak zwani Egineci przechowywani w mnichowskiej Kliptotece. Stanowią oni całą grupę pojedynczych posągów wielkości półczłowieka, ustawioną niegdyś na przyczółku świątyni Doryckiej w Eginie. Po środku, w najwyższej części przyczółka, stała bogini Atene, sztywna niewiasta z tarczą, hełmem i włócznią, z napierśnikiem o straszliwej głowie Meduzy, z twardemi rysami i stereotypowym uśmiechem. Ona tarczą zasłaniała Patrokla martwo u jej stóp leżącego. Do koła, z obydwu stron, stanęli wzdłuż gzymsu bohaterowie Iliady walczący o ciało poległego. Postawy ich bardzo śmiałe, rysunek twardy lecz poprawny, rysy wszędzie greckie, na każdej głowie włosy, brody i wąsy kędzierzawe i wszędzie zbroje. Jedni miecz dźwigają, drudzy grożą włócznią. Bliżsi bogini stoją, dalsi klęczą aby się na coraz niższem polu umieścić. Bieg, ruch i zamięszanie bitwy dobrze naśladowane o ile to było można uczynić na polu, na którem wszystkie postacie symetrycznie i w jednej linji stanąć musiały. Razi tu tylko dziwnie martwy brak wyrazu twarzy. Postacie te są może dziełem Onatasa.

Dopiero Kalamis, a po nim Miron i Poliktet doprowadzili rzeźbiarstwo do najwyższej doskonałości. U nich widać już doskonały ideał ciała ludzkiego.

Wiemy że idealnością zowiemy oddanie ogólnych cech rodzaju, w przeciwieństwie do jednostki. Takim ideałem młodzieńca jest Hermes Poliktita znajdujący się w świątyni Tezeusza w Atenach, którego zawsze doskonałą jeszcze kopię przechowują w Watykanie pod niewłaściwą nazwą Antinousa Belwederskiego. Jest to kolosalny posąg doskonałego dłuta, pochodzący najniezawodniej z najlepszych czasów greckiej sztuki. Jeżli ten posąg nie jest samym oryginałem, w każdym razie jest dziwnie pięknem i dokładnem odbiciem oryginału. Młodzian nagi stoi w pełni życia i potęgi. Żaden inny pełny posąg grecki, z czasów niepodległości Heleńskiej, nie przedstawia tak doskonałego wzoru nagiego męskiego ideału.

Hermes w prawicy trzymał laskę oplecioną wężami, a lewicę oparł o pień ścięty. Rysy jego i kształty były greckie, włos krótki, głowa spuszczona, a otwarte źrenice patrzyły w ziemię. Cała postać młodzieńca przypomina ruchy zamyślonego człowieka, wyraz zaś myśli spokojnej widziany na posągu, budzi dziwnie miłe uczucie. Ale główny może czar tego młodzieńczego ciała, to widok nagich i doskonałych mięśni. Jest to roskosz rozumowa a nie uczuciowa. Widz nie tem się cieszy że mistrz tak dziwnie, tak cudownie odtworzył życie; główną dlań radością widok owego dziwnego ładu, owej boskiej architektury, którą ciałem ludzkim zowiemy.

Ciało rzucone śmiało do góry, wsparte o stopy, a zakończone głową co się na wiotkiej szyi wznosi. Członek każdy ma swoje przeznaczenie i gotów je pełnić doskonale. Wszystkie członki są u niego razem złączone w nierozerwalną, harmonijną jedność organizmu, a jednak każdy członek, każda linja, każda mięśnia jest inną i znowu inną. Tylko symetrja ujmuje w ład estetyczny tę całą nieskończoną rozmaitość, a ta symetrja traci znów dla tego na sztywności, że ruch i życie inaczej jedne, a inaczej drugie podobne członki układają. Rozmaitość tę tłumną bardzo łatwo przejrzeć, a wszystkie linje układają się w kilka linij głównych — w kilka mas objętych ścisłą regułą matematyki. Cała ta fizyczna piękność służy widocznie na to, by dać duszy myślącej i czującej hoży przytułek i możne narzędzie. Wszystko to uderza widza na widok Hermesa. Piękność ludzkiego ciała wydaje się tem większą, że stanęła przed nami w ruchu, lecz w ruchu niewytężonym, spokojnym, i że stanęła przed nami sama, bez przyborów, nie miotana żadną namiętnością, nie sponiewierana zewnętrzemi wpływami, nieskalana przypadkowością. Myśl ciała ludzkiego w tym posągu lepiej przedstawiona niżli w któremkolwiek ciele żyjącem, i dla tego godzinami można stać przed owym olbrzymim młodzieńcem z marmuru.

Uznajemy w nim istotę piękniejszą od nas, lecz mimo to nie uznajemy istoty wyższej. Umysłowo, duchownie, jest tu zupełnie swobodny młodzieniec, który się chwilowo zamyślił, a takie zamyślenie jest świadectwem duszy, lecz może i duszy zwyczajnej. Ani grozy tedy, ani żadnych innych silnych uczuć tu nie doznajemy, i czysto tylko rozumowo używamy. Używanie zaś o tyle jest przystępniejszem od tego, którego się w takim niegroźnym Tezejonie doznaje, o ile człowiek jest bliższym od kolumny. (C. d. n.)

UŚMIECH JESIENI.

Pożółkły gaje, pierwsze nocne chłody
Zieloną wczoraj zwarzyły murawę;
Wzdłuż łąk wilgotnych, borów, smugiem wody,
Gęstem się pasmem ścielą mgły srebrnawe.

Na polu czysto — jak wymiótł. Po ścierni,
Gdzie kóp onegdaj zliczyłbyś tysiące,
Dziś tam świętemu Hubertowi wierni,
Tropią przepiórki, lub chyże zające.

Dorocznych plonów zwieziony ostatek
Spoczął w stodołach. Raźnie warczą młyny,
Świeżem pieczywem pachnie koło chatek,
Błękitnym dymem kurzą się kominy.

Po wsiach niewiasty len tłuką. Paździerze
Zasłały ziemię. Zimowe wieczory,
Gdy się rodzina w koło pieca zbierze,
Szmer wrzecion w ciche wplotą rozhowory.

Przeczuwszy mrozy co kroczą, w przestrachu
Ku południowi ciągnie sznur żurawi;
Klekoce bocian przed drogą na dachu,
Wieniec jaskółek w przestworzu się pławi.

Oracz wśród niwy nad pługiem schylony,
Woły popędza: „Ej! Rabe! Czas wielki!"
I w długie, proste a równe zagony,
Porze pierś żyzną ziemi rodzicielki.

A siewacz za nim ziarnka czyste, zdrowe,
W rozwarte bruzdy pełnę sypie dłonią;
Kto wie, nim żytko wybuja z nich nowe,
Komu w cerkiewce na „Amen" zadzwonią?

Co tam! Bóg dobry. Wie co czynić trzeba!
W ręku u Niego los królów i kmieci!
Znajdzie się komu spożyć kąsek chleba,
Nie my go złamiem, to złamią go dzieci.

Z za popielatej dżdżystych chmur siermięgi
Tulącej niebo, gdy wiatr ją rozchyli,
Zbladłych lazurów poszarpane wstęgi,
Migną się czasem, by zniknąć po chwili.

Czasem też odblask słonecznych promieni,
Przez mglisty pułap ślizga się przelotem,
I smętny, szary pejzaż ten jesieni
Na mgnienie oka płynnem zlewa złotem.

A nam, marzącym i zawsze i wszędzie,
Zda się, iż widzim sędziwą matronę,
Co nad żywota przybiegłszy krawędzie,
Żegna swych dziatek kółko rozżalone.

I co świadoma, że skrzętne jej znoje,
Zabezpieczyły przyszłość z nich każdego,
Z rzewnym uśmiechem szepce: „W ręce Twoje
Ojcze niebieski! Przyjmij ducha mego!"

Paryż d. 14 Września 1876.

J. S. Chamiec.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

Pani Devarges.

Ramirez poszedł za służącym po wschodach, potem wąskim korytarzem, wreszcie doszedł do wielkiej sali. Tam służący oznajmił mu, że ma zaczekać na jego powrót, i znikł w ciemnościach innego korytarza.

Ramirez miał czas rozpatrzeć się w drewnianych przepierzeniach i skromnem wewnętrznem urządzeniu „Międzynarodowego hotelu." Wystarczyło mu również czasu do wystudjowania napisu umieszczonego na widocznem miejscu. „Uprasza się gentlemenów, ażeby na schodach nie nocowali" -- dopóki przewodnik nie powrócił. Skinąwszy na Ramireza z miną niezadowoloną i niedowierzającą, przewodnik ten wszedł w długi ciemny korytarz, na którego końcu stanąwszy, lekko do drzwi zapukał. Pomimo wszakże, że pukanie było ciche, otworzyły się wszystkie drzwi na korytarzu, a w każdych ukazała się męska głowa. Twarz Ramireza zasępiła się widocznie. Był on dość obeznany z miejscowemi stosunkami, ażeby wiedzieć, że jako odwidzający damę, będzie przedmiotem zazdrośnej ciekawości i jawnego niedowierzania.

Lekkie kroki dały się słyszeć wewnątrz i drzwi się otworzyły. Przewodnik stał dość długo, ażeby wyrobić sobie zdanie o formie i godności przyjęcia, a potem wyniósł się mrucząc. Drzwi zamknęły się i Ramirez znalazł się w obecności mieszkanki pokoju.

Była to mała szczupła blondynka, która gdy uśmiech ożywił jej twarz i oczy przy otwieraniu drzwi, a przy zamykaniu nagle zniknął, mogła być poczytaną za prostą bez znaczenia kobietę. Z wyjątkiem pewnej niebezpiecznej miękkości w obejściu — której, że pozwolę tu sobie dodać, zawsze w kobiecie obawiać się należy — i pewnego prawie za daleko posuniętego lekceważenia samej siebie, bodaj czy mogła być pożądaną naszej płci, a swojej nie wydawała się niebezpieczną.

Gdy Ramirez podszedł ku niej z rozpostartemi rękami, cofnęła się ze strachu i okazując na wątłe ściany rzekła cicho:

— Ściany mają uszy.

Ciemnobrunatna twarz Ramireza jeszcze bardziej pociemniała. Nastąpiła długa pauza. Nakoniec dama, błysnąwszy oczyma i ukazując zęby, rzekła:

— Usiądź panie Wiktorze, i opowiedz mi dla czego tak prędko powróciłeś.

Wiktor usiadł mrucząc. Dama przeistoczyła się cała w uległość — nie mówiła jednak nic. Ramirez nadąsany chciałby także milczenie zachować, ale wrodzona mu prędkość nie pozwoliła na to — i rzekł:

— Widzisz pani! Lepiej byłoby wykreślić w książce hotelowej imię Gracji Conroy a wpisać własne imię pani.

— A to dlaczego, Wiktorze?

— Pytasz pani dlaczego? odrzekł; ależ mój Boże! dlatego, że o sto mil ztąd mieszka brat i siostra Gracji Conroy. Widziałem ich.

— Dobrze!

— Dobrze? powtórzył Wiktor; czy to dobrze?... Usłyszysz pani, czy to dobrze...

Podsunął krzesło swe ku niej i począł mówić stłumionym poważnym głosem:

— Nakoniec wyszukałem miejsce kopalni. Śledziłem opis miejscowości i jej okolic, jakie na papierze tym, który znalazłem, były oznaczone. Dobrze! prawda... a! panią zaczyna to interesować!.. Prawdą jest, prawdą wszystko dotyczące miejscowości!... Widzi pani!.. nie! Kopalnia nie jest jeszcze odkryta.

— Jak się nazywa miejsce?

— Nazwano je One horse gulch, dlaczego? kto to może wiedzieć? Jestto czysty pokład kopalny. Dokoła znajdują się cenne udziały, ale żyła na szczycie małej góry nie jest znana, nie jest zajęta. Dlaczego? Oto, że nie spodziewają się od niej tyle, ile z udziałów na płaszczyźnie. A to jest ta sama żyła, która tu stoi opisana.

Wyjął z kieszeni kopertę a zniej złożony papier (ten sam, który Gracja Conroy otrzymała od doktora Devarges) i wskazał na kartę.

— Ten tu opis, ciągnął dalej, prowadzi mnie do wyższych wód rzeki American. Idę za oddziałem górskim, ponieważ znam każdą drogę i ścieszkę i tym sposobem przychodzę pewnego dnia w ostatnim tygodniu do One horse gulch. Widzisz pani, ten gulch jest tu opisany...

Trzymał papier przed nią, a cienkie i długie jego palce suwały po nim jak szpony jastrzębia.

— Potrzeba było, zaczął znowu, ażebym zatrzymał się tam cztery lub pięć dni, dla wywiedzenia się. A jak to zrobić? Jestem cudzoziemcem, obcym, górnicy zaś nie mają zaufania do takich, i nie łatwo cośkolwiek im powiedzą. Ale słyszę o niejakim Gabryelu Conroy, poczciwcze, bardzo względnym dla chorych. Dobrze! będę chory!... Zaraz! bardzo chory! Reumatyzm tu mi dokucza (wskazał na kolano). Jestem bez opieki, jak dziecko. Muszę być przyjęty dla leczenia się do domu pana Briggs. Przychodzi do mnie Gabryel Conroy, siada przy mnie, rozmawia ze mną i opowiada najrozmaitsze rzeczy. Prowadzi do swojej małej siostry. Idę do jego chaty na górze. Widzę portret jego siostry starszej. Dobrze! Rozumisz pani? wszystko przepadło!

— Dlaczego?

— Co? Ta kobieta pyta się mnie dlaczego! zawołał Wiktor chwytając się za głowę. Chcesz pani więcej wiedzieć? To słuchaj: Dom Gabryela Conroy stoi na gruncie — na tym samym gruncie — rozumiesz pani!... tym, który gubernator ustąpił doktorowi Devarges. Otoż ten Gabryel, widzisz pani — jest posiadaczem wszystkiego.

— Jakto! Czy wie on co o żyle?

— Nie! To wypadek, który możnaby nazwać zrządzeniem losu!

Kobieta podeszła ku oknu i przez niejaki czas przypatrywała się padającemu deszczowi. Twarz, która tam wyglądała była tak stara, tak wyniszczona, takie ostre miała rysy, że jakiś człowiek przechodzący po przeciwległym chodniku, gdy spojrzał w okno, aby rzucić okiem na piękną kobietę, nie poznał jej. Być może, iż to właśnie sprawiło, że przyszła do siebie, gdyż wkrótce potem zwróciła się z najsłodszym uśmiechem ku Ramirezowi i rzekła tonem najłagodniejszym.

— Więc opuszczasz mnie pan?

Wiktor, nie dowierzając sobie, nie chciał spotkać się z jej wzrokiem. Spojrzał przed siebie, ruszył ramionami i rzekł:

— To jakieś dopuszczenie!

Złożyła obie ręce przed sobą i podchodząc ku niemu tak, że oczy ich musiały się spotkać, rzekła:

— Masz pan dobrą pamięć, Wiktorze?

Nic na to nie odpowiedział.

— Pozwól, że ci ją odświeżę. Rok upływa od czasu jak otrzymałam w Berlinie list, podpisany przez pana Piotra Dumphy z San Francisco, w którym uwiadamiał mnie, że jest w posiadaniu ważnych dokumentów, dotyczących własności zmarłego mego męża, doktora Pawła Devarges i wzywał bym weszła z nim w korespondencję. Na list jego nie odpowiedziałam — przybyłam sama. Nie mogłam długo odkładać, ani wahać się — co może uczyniłby rozsądny mężczyzna. Jestem biedną, słabą kobietą i jako taka przybyłam. Widzę,

żem źle zrobiła; wy, daleko widzący, odważni, przezorni mężczyźni, wy pierwej napisalibyście.. Jednak przybyłam.

Zniecierpliwiony Wiktor kręcił się na krześle — nic jednak nie odpowiedział.

— Rozmówiłam się, ciągnęła dalej, z panem Dumphy w San-Francisco. Pokazał mi on rozmaite dokumenty, które, jak utrzymywał, znalazł w pewnem miejscu, a które widocznie doktor Devarges chciał przechować. Jeden dokument był to przywilej hiszpańskiego rządu krajowego, drugi opisywał rozmaite ważne odkrycia. Posłał on mnie do misji i Prezydjum San Isabel, które wysłało wyprawę w celu zasięgnięcia dalszych informacyj. On był kupcem — oferzystą — jemu chodziło o pieniądze, ofiarował mi się dopomagać za pewny procent. Czy nie tak?

Wiktor podniósł oczy, a potem skinął głową twierdząco.

— Przybyłam do misji, mówiła dalej, spotkałam pana, sekretarza, byłego komendanta, jedynego człowieka, który przypominał sobie wyprawę, i który przechował dokumenta prezydjum. Pokazałeś mi pan jedyny odpis owego raportu. I pan byłeś formalistą i wielce urzędowym, dopóki nie zawiadomiłam go o mojej przeszłości. Zdawało mi się, żeś pan zainteresował się nią. Opowiadałeś mi pan o młodej dziewczynie, owej tajemniczej Gracji Gonroy, której nazwisko znajdowało się między zmarłymi i o której byłeś zdania, że jest oszustką! Czyś nie zrobił tego?

Wiktor skinął głową.

— Opowiadałeś mi o jej rozpaczy przy czytaniu raportu; o jej zemdleniu; o odkryciu jej stanu przez kobiety; o współczuciu komendanta; o tajemniczem jej zniknięciu; o milczeniu komendanta; o własnym domyśle pana co do urodzenia się dziecka! Czy tak było Wiktorze?

Starał się pochwycić ją za rękę. Ale ona nie wychodząc z łagodnego tonu cofnęła ją i mówiła dalej:

— A potem mówiłeś pan o znalezieniu papierów na podłodze, gdzie jej zmieniano suknie— tych samych papierów, które teraz masz w ręku. Zawiadomiłeś mnie o powodach, dla których papiery te ukryłeś i zatrzymałeś. A potem, Wiktorze, wytłumaczyłeś mi jak mogę powrócić do swojej własności — postawiwszy się na miejscu tej dziewczyny — jak mogę oszukać oszustkę. Żadnych procentów nie żądałeś odemnie! Nie starałeś się robić interesu z mego nieszczęścia; żądałeś tylko mojej miłości. Tak! tak! Być może, iż byłam głupią, słabą kobietą. Było to po części przekupstwo... być może iż słuchałam więcej popędu mego serca, aniżeli interesu. Przyrzekłam ci moją rękę i majątek, gdy nasz plan urzeczywistni się. A teraz przychodzisz do mnie i chcesz uwolnić się z tych więzów. Nie! nie!

Ramirez, teraz rzeczywiście zaniepokojony, pochwycił jej rękę i z najgłębszą skruchą rzucił się jej do nóg. Ale silnym ruchem wyswobodziła się od niego.

— Nie! nie!— zawołała, tym samym prosto do serca przemawiającym głosem. — Idź do brata, którego wyszukanie, jak się zdaje, było jedynym celem twojej podróży. Idź teraz do niego! Zwróć mu dokument, który masz w twoich rękach. Powiedz mu, żeś go pochwycił u jego siostry, którą poczytywałeś za oszustkę i o której wiesz, że jest matką nieślubnego dziecka. Powiedz mu, że gdy to robisz, odbierasz ostatnią nadzieję pokrzywdzonej kobiecie, która przybyła tu z odległości tysiąca mil, ażeby coś otrzymać po mężu, który powinien był być jej podporą. Powiedz mu to; a ten brat, jeżeli jest człowiekiem, tak jak mi go opisujesz, będzie cię błogosławić! Dość gdy mu potem powiesz, że dokument ten na nic mu się nie zda, ponieważ według prawa posiadanie tej własności należy do dziecka jego siostry, jeżeli to jeszcze jest przy życiu Dość gdy mu wręczysz raport, uznający obie jego siostry za zmarłe, a własną jego tożsamość poddasz w wątpliwość.

— Przebacz mi, jęknął Wiktor z boleśnem uczuciem wstydu i podziwu wobec stojącej przed nim kobiety; przebacz mi, Juljo! Jestem tchórz! niewolnik! niewdzięcznik! Juljo! zrobię wszystko, wszystko co każesz!

Pani Devarges była za sprytną by dalej wyzyskiwać swe zwycięstwo; być może, iż była zarazem zanadto przezorną, ażeby więcej podburzać człowieka u nóg jej leżącego. „Ts!“ szepnęła i jednocześnie pozwoliła mu, jakby bezwiednie, pociągnąć się ku sobie.

— Posłuchaj mnie, Wiktorze! rzekła, czego właściwie masz się obawiać od tego człowieka? Co będą znaczyć jego dowodzenia wobec mnie, gdy on jest w nieprawnem posiadaniu mojej własności, mnie prawem przyznanej własności, gdy zdecyduję się wyprzeć jego pokrewnictwa? Kto uzna tożsamość jego jako Gabryela Conroy, gdy właśnie jego krewna nie odważy się wystąpić by go uznać? Co będą warte dowodzenia tego brata, jeżeli ona im zaprzeczy i jeżeli przez nią będzie wykazanem, że ja jestem Gracja Conroy, która przybyła do misji, i gdy moja tożsamość będzie udowodnioną przez jedyną żyjącą osobę — przez Piotra Dumphy?

— Dumphy! powtórzył zdziwiony Ramirez.

— Tak jest, Dumphy! powtórzyła pani Devarges. Jak tylko dowiedział się, że ja, jako rozwódka po zmarłym doktorze Devarges, nie mogę przedstawić żadnych legalnych pretensyj, i gdym mu opowiedziała moje zamiary, ofiarował się świadczyć moją tożsamość. O, Wiktorze! ja nie próżnowałam, podczas gdy ty wyszukiwałeś tylko przeszkody.

— Przebacz mi! — Schwycił ją za rękę i począł całować namiętnie. Lecę! Bądź zdrowa!

— Dokąd idziesz? zapytała, wstając.

— Do One horse gulch! odrzekł.

— Nie! Usiądź i wysłuchaj mnie. Teraz musisz udać się do San Francisco i uwiadomić Dumphy'ego o swojem odkryciu. Być może, iż potrzeba będzie wziąć adwokata; ale musimy poprzednio obliczyć nasze siły. Możesz wynaleźć miejsce pobytu tej Gracji Conroy. Jedź do San-Francisco, pomów z Dumphym, a potem powracaj do mnie.

— Ale ty jesteś sama i bez opieki!... Ci ludzie...

Podejrzenie zazdrości zaświeciło mu w oczach.

— Wierz mi, odpowiedziała, że mężczyźni są mniej niebezpieczni dla naszych planów, aniżeli kobiety!... Czy nie wierzysz mi, Wiktorze? dodała uśmiechając się.

Rzuciłby się jej do nóg, ale zatrzymała go wzrokiem pełnym znaczenia, rzuconym na ścianę i z podniesionym w górę palcem.

— Dobrze, rzekła; teraz idź!... Ale zaczekaj!... czy ten Gabryel... ma żonę?

— Nie.

— Więc bądź zdrów.

Drzwi zamknęły się i znikł.

W kilka chwil potem ozwał się gwałtowny głos dzwonka z pokoju pod Nr. 92 przylegającym do pokoju pani Devarges.

Mruczący odźwierny zapukał do drzwi i z uszanowaniem wszedł do pokoju, ponieważ co do charakteru jego mieszkańca nie istniało żadne podejrzenie. Był to bardzo dobrze znany Jack Hamlin, gracz z profesji.

— Dlaczego, u licha, każecie mi czekać? zawołał Jack z łóżka.

Odźwierny mruknął parę słów uniewinnienia.

— Przynieś mi gorącej wody.

Odźwierny zamierzał wynieść się co najprędzej, gdy Jack zatrzymał go, zakląwszy.

— Za wiele czasu potrzebowałeś, powiedział, by tu przyjść i nie potrzebujesz tak prędko zmykać. Co to za człowiek który właśnie wyszedł z sąsiedniego pokoju?

— Niewiem, panie.

— Dowiedz się i daj mi znać.

Rzucił sztukę monety, poprawił poduszki i odwrócił się twarzą do ściany. Odźwierny jeszcze wahał się. Jack spojrzał na niego.

— Jeszcze tu! zawołał, cóż u kroćset!...

— Przepraszam bardzo pana... czy wie pan co o niej?

— Nie, odrzekł Jack, podnosząc się na łokciach — ale jeżeli raz jeszcze złapię cię, że tam czatujesz pod drzwiami, tak jak to było przed dwoma minutami, to...

Tu p. Hamlin urwał, ale ruchem dał odźwiernemu do zrozumienia, że może gwałtownie pozbawić go organów słuchu w życiu niezbędnych. Po chwili krzyknął:

— Precz!

Gdy drzwi się zamknęły, p. Hamlin około godziny przeleżał spokojnie. Po upływie tego czasu wstał i począł ubierać się, przy czem nucił coś cichym tenorem, który mu pewną sławę zjednał. Po ukończeniu toalety, przy śpiewie włożył do kieszeni mały pistolet z łożem ze słoniowej kości, której czynności towarzyszyła bardzo czuła rulada, osadził kapelusz na pięknej swej głowie, może trochę więcej na bakier niż zwykle i wyszedł do sali. Gdy drzwi swego pokoju zatrzaskiwał, cienka ściana lekko się wstrzęsła i drzwi od pokoju sąsiadki otworzyły się. P. Hamlin ujrzał ją stojącą przy komodzie z chustką przy oczach. Powstrzymał natychmiast swe śpiewanie i z powagą poszedł po schodach. Na dole spotkał odźwiernego, który podniósł rękę do kapelusza, i rzekł:

— On panie tu nie mieszka.

— Kto tu nie mieszka? zapytał Hamlin zimno.

— Ten człowiek.

— Jaki?

— O którym pan mówił.

P. Hamlin wziął spokojnie cygaro, zapalił je i parę razy puściwszy dym, spojrzał prosto odźwiernemu w oczy, po czem powiedział:

— O żadego człowieka nie pytałem się.

— Sądziłem, panie...

— Nie powinieneś tak rano zalewać się, Michale, rzekł p. Hamlin z lodowatym spokojem, nie odejmując czarnych swoich oczu od twarzy odźwiernego. Próżny twój żałądek nie znosi tego. Posłuchaj mnie i czekaj do poobjedzie.

ROZDZIAŁ XII.

Pani Markle.

Napomknienia Olly o pani Markle i jej krytycznych uwagach, niepokoiły Gabryela pod pe-

wnym względem noc całą, i gdy następnego dnia zerwał się wcześnie i poszedł do stołu, na którym leżała jego robota, opanowało go przykre zwątpienie co do własnej zręczności w tym zakresie domowego gospodarstwa.

— Coś mi się prawie tak zdaje, powiedział sam do siebie, biorąc jednę sztukę ubrania po drugiej, i kładąc koło łóżka spiącej jeszcze Olly— jak gdybym nie wypełniał należycie moich obowiązków względem dziecka. Suknie te — chociaż są jeszcze mocne i przeciw trwałości materjału nic nie można powiedzieć — są cokolwiek za staromodne. Nie mówi się to dlatego, by potrzeba było, moja droga, jakiejkolwiek sztuki lub umiejętności dla wykazania całej swojej piękności, — ciągnął dalej lekko poprawiając włosy spiącej dziewczynki; ale zawsze być może, iż dałoby to powód do naśmiewania się ze strony innych dzieci. A ludność w osadzie wzrasta z dniem każdym. W ciągu sześciu miesięcy przybyły trzy rodziny... Osada przeludnia się... A pani Markle... (tu Gabryel zarumienił się nawet w samotności własnej swojej chatki) jeżeli pomyślę, że takie małe stworzenie, jeszcze dziewięciu lat nie mające, już tak się o tej wdowie wyraża!... to przechodzi wszystko możebne! A właśnie tylko z powodu Olly trzymałem się zdala od wszystkich podobnych historyj, jedynie by nie było żadnej kobiety, któraby mogła jej rozkazywać.

Ale pomimo wszystkich tych uwag, gdy zasiadł z Olly do skromnego śniadania, nie podobały mu się rozmaite szczegóły w ubiorze siostry, i pewna oryginalność w jej obejściu — co mu pierwej nigdy w oczy nie wpadło.

— Zwykle, moja Olly, zaczął oględnie rzecz swoją od ogólników, zwykle w przyzwoitem towarzystwie, młode dziewczęta nie jeżdżą na stołkach tak jak chłopcy i nie suwają tak nogami po podłodze psując obuwie.

— Zwykle mój Gabie, młode dziewczęta wcale obuwia nie noszą, odrzekła Olly kłaniając się i maczając kawałek chleba w sosie.

W głębokiem przekonaniu, że nie wychodzi z założenia, czy wysokie gumielastyczne obuwie jest niezbędną częścią ubrania dziewczyny, Gabryel ciągnął dalej z lekką obojętnością:

— Sądzę, że dziś rano, po drodze do Gulch odwiozę panią Markle.

I wpatrywał się w twarzyczkę siostry, o ile ta widzialną była z poza wielkiego kawała chleba, który właśnie zajadała.

— Weź mnie z sobą, Gabie!

— Nie, odrzekł Gabryel, ty tu zostaniesz i zrobisz porządek w domu, a nie chodź do lasu dopóki wszystkiego nie uporządkujesz. Zresztą, dodał tonem napuszonym, mam załatwić z panią Markle pewien interes.

— A! zawołała Olly, podnosząc twarzyczkę błyszczącą od figlarności i sosu.

— Chciałbym wiedzieć, Olly, co cię dziś tak korci, rzekł Gabryel z godnością.

— Czy ci nie wstyd, Gabie?

Gabryel wolał nie odpowiadać; wstał, ułożył swoje narzędzia, wziął kapelusz z kąta i poszedł ku drzwiom; ale potem nagle odwrócił się i przybliżył do Olly.

— Olly, powiedział, biorąc jak zwykle twarzyczkę jej w obie ręce, gdyby mi się kiedy co stało, to spodziewam się, moja droga, iż zawsze będziecie pamiętać o tem, że to com uczynił, uczyniłem tylko dla ciebie, Olly, dla ciebie. A com czynił, to zawsze dla dobra twego.

Olly natychmiast przyszła na myśl rzeka.

— O! przecież nie pójdziesz dziś na głęboką wodę? zapytała z lekkiem drżeniem.

— Jak dla mnie, na bardzo głęboką, dodał prędko i pocieszająco spojrzawszy na jej zaniepokojoną twarz. Ale nie martw się; wyjdę ja z niej cały. Bądź zdrowa.

Ucałował ją czule. A ona pogładziła go po jasnych włosach, musnęła po brodzie i raz jeszcze poprawiła mu krawatkę.

— Powinien byś wziąć inną bieliznę, powiedziała; ta nie bardzo czysta, a przecież idziesz do pani Markle! Czekaj! przyniosę ci twój słomiany kapelusz!

Pobiegła za przepierzenie; ale gdy wróciła już go nie było.

Poprzedniej nocy deszcz padał; ziemia się odświeżyła, a po niebie przesuwały się piękne obłoki, rzadkość w Kalifornji, wyjąwszy pory dżdżystej. Gabryel chociaż nie łatwo wzruszający się meteorologicznemi wpływami, i nie bardzo wrażliwy na piękności natury, czuł jednak, że ranek był przepyszny i z tego powodu — tak przynajmniej sądzę — więcej czuł się przystępnym pochlebstwom rodzaju niewieściego, aniżeli zwykle. Od zachwycania się drzewem, kwiatkiem, promieniem słońca, aż do wzbudzenia niebezpiecznej sentymentalności względem innej płci oddziela (jak się obawiam) dla pewnych usposobień, których jedyne zabezpieczenie polega w ciągłem pozostawaniu w jednej i tej samej kolei — przestrzeń nie wielka. Z tego to powodu Gabryel przybliżając się do pomieszkania pani Markle czuł się spowodowanym do upatrywania bogini natury w osobie pani Markle, gdy świeża jej i wesoła twarz ukazała się nad naczyniem, które w oknie od kuchni przemywała.

I tu zaszedł jeden z tych faktów kobiecej zmienności, które w ogóle wielce mężczyzn pociągają, ale też w wielu wypadkach wyjątkowych nie okazują się bynajmniej skutecznemi. Pani Markle, która zawsze okazywała się względem skromnego Gabryela bardzo uprzedzającą, uprzejmą i naturalną, teraz ujrzawszy go zbliżającego się z wyrazem pewnej siebie wesołości w twarzy, sama przybrała wyraz zaczepmy — co ja tu dla prestrogi pozwalam sobie nadmienić.

— Jeżeli chcesz widzić się ze mną, panie Gabryelu Conroy, rzekła pani Markle wstrzymując swą robotę i ścierając pianę ze swych ogorzałych ale zgrabnych rąk, — to możesz przyjść tu, gdyż nie mogę porzucić mego naczynia. Joe Markle zawsze mi mawiał: „Sue *), gdy jesteś przy robocie, to nie powinnaś myśli twych zwracać na inny przedmiot. Sal! podaj tu krzesło Gabryelowi, nie przychodzi on tak często by dla odmiany miał stać. My, Sal, z tobą jesteśmy twardo pracujące kobiety, nie mamy czasu chorować; a chorzy są jedynymi ludźmi, którzy obchodzą pana Conroy.

Chociaż Gabryel zdumiony był takiem sarkastycznem przyjęciem, uczuł jednak pewną ulgę. „Olly nie miała słuszności“, powiedział sobie w duszy „ta kobieta myśli tylko o myciu naczynia i o kłopotach jakie ma ze swoimi stołownikami. Gdyby zawsze była taką i męża pozostawiała w spokoju, nie uwijała się koło niego, ale trzymała się w umiarkowancj odległości i dbała o porządek w domu, to wcale nie źle byłoby ożenić się z nią. Ale w końcu zmieni się, tej płci wierzyć nie można. Niech jak tam chce będzie. Olly co do tego punktu może być spokojną.“

(C. d. n.)

*) Skrócenie od Suzan, Zuzanny.

Listy z Warszawy.

Aurelego Maura.

Wrzesień — 1876.

Cel bytności cara w Warszawie jest dotąd nieodsłoniętym. Bo przecież nikt Aleksandra II nie posądzi o to, że nas z tęskniącej miłości odwidził, lub że po nadmiernem siedzeniu w Petersburgu pragnął się przejechać. Kilkogodzinne zaś manewry na Mokotowskiem polu nie mogą w żadnym razie usprawiedliwić podróży. Bardziej wszakże zagadkową była długa obecność następcy tronu. Przyjechał z ojcem i po jego odjeździe został. Ale gdzie? W Łazienkach, w Belwederze, czy w Skierniewicach u Barjatyńskiego? długo nie wiedziano, mimo że przecież na zapomnienie się naszych gazet wobec tego rodzaju figur skarżyć się nie podobna. Dostają one bowiem codziennie najszczegółowsze biuletyny, które drukować muszą. Widocznie jednak tym razem przyszły nasz pan postanowił się ukryć przed okiem swych niewolników. Mówiono tylko pogłoskami, że poluje w skierniewickim zwierzyńcu. Dziś dopiero tajemnica przestała drażnić tych, których intrygowała. Następca tronu prawie przez cały tydzień przebywał w okolicy przy Skierniewicach, spędzając czas na bawieniu się z ludem. Podobno wytańcowywał obertasy z wieśniaczkami, a w przystępie dobrego humoru mianował jakiegoś proboszcza biskupem. Co to wszystko znaczyć miało? Niedocieczone są tajemnice russkiej polityki. Tyle razy smutnie zawiedzeni, ciągle spodziewamy się od każdej bytności carskiej jakiegoś ulżenia kajdan. Dziś zdawało się to bardziej niż kiedykolwiek prawdopodobnem. Sądzono, że Rossja występując jako protektorka uciśnionych i potrzebując na wypadek wojny złagodzenia się naszego do niej stosunku, zamagnetyzuje nas jakąś jałmużną. Tymczasem jedyną łaską jaka nas przy bytności cesarza spotkała, jest zniesienie w Petersburgu kancelarji do spraw Królestwa polskiego, to jest ostatniej instytucji, która naszą odrębność przypominała. Dziś więc już zupełnie zniknęło *Carstwo Polskoje* ustąpiwszy miejsca *Prywislanskomu kraju*, którego stolica wkrótce dostanie *Gołowu* zamiast prezydenta i tym sposobem straci nawet w tym urzędzie swój stołeczny charakter. Tak nas od lat trzynastu gnębią rozmaite łaski, że nie mogę pominąć jednej, która się od innych wyróżniła. W czasie bytności cesarza, Warszawa musi palić w oknach i rynsztokach iluminację, na którą wydaje bajeczne sumy. Ośmiodniowa wizyta naszego ojca kosztowałaby miasto do 100.000 rsr. Przy strasznej nędzy jaka u nas panuje, byłby to cios bardzo dotkliwy. Domyślając się go cesarz, zakazał iluminacji przez dni 6. Jest to pierwsze i jedyne dobrodziejstwo jakie z jego woli od czasu powstania na nas spadło. Gdy przyszły historyk spisywać będzie udzielone nam przez rząd rossyjski łaski, nie znajdzie oprócz tego zwolnienia od iluminacji nic więcej do polecenia uczciwej chwale.

Nowo zaprowadzone sądownictwo już funkcjonuje. O ile z krótkiego doświadczenia można się było przekonać, procedura kryminalna jest lepsza, cywilna cofnęła nas podobno o lat sto. Pisaniny w tej ostatniej ma być tak wiele, że przy pewnych warunkach sprawa potrzebuje 80 przeszło odpisów. Sami *sędziowie mirowi* nie mając sumienia narażać procesujących się na olbrzymie koszta, usiłują strony godzić. Komicznym jest

widok smutnych losów ruszczyzny w sądach. Ludność naturalnie odżywa się po polsku. *Patruditieś gawarit' pa ruski,* woła co chwila sędzia mirowy do przekupki lub chłopa, nie zważając na to, że nie może *patruditsa* ten, kto *gawarit' pa russki* nie umie. Gdy dziś rozmaite wieści i domysły ułożyły się do wierniejszej opinji, nikt nie przeczy, że wielu z nasłanych naczelników nowego sądownictwa zachowuje się bez żadnej moralnej nagany. Za to oni nie kryją się z zawodem. Zajmując znaczne posady w Rossji sądzili, że przeniósłszy się do nas, porobią na słusznych dochodach majątki. Tymczasem teraz widzą, że się przerachowali. Kraj ubogi, miasto drogie, ludność zrażona od sądów ucieka, pensję chociaż znaczną pochłaniają wydatki życia wystawnego. Jak tu przy 4.000 rsr. myśleć o napełnianiu szkatuły, jeśli czwarta a nieraz trzecia część idzie na mieszkanie, które u nas jest bezprzykładnie drogie?

Porzućmy jednak tę smutną krainę russkiego apostolstwa i przejdźmy tam, gdzie możemy mieć do czynienia tylko z sobą. Letnie skwary wysuszyły do dna i bez nich ubogie źródło naszej produkcji umysłowej. Tylko jak zwykle nowe pisma powstają. Wprawdzie od ostatniego mego listu nie wylazł z pod ziemi żaden świeży grzybek, ale już są znaki, że jesień i zima będą w te płody obfite. W ministerjum spraw wewnętrznych leży podobno 60 podań o koncesje prasowe. Jeżeli każde z tych jajek się wykluje, co my robić będziemy z tyloma dziennikarskiemi pisklętami. Żeby przynajmniej lęgły się orły, ale to same kawki lub puszcze. A mamy już ich i tak dosyć. Nie znam dokładnie sposobu redagowania pism galicyjskich, nasze wszakże urągają nieraz najelementarniejszym zasadom tej sztuki za granicą. Śmiech bierze czytać odezwy r e d a k c y j, przemawiających jako ciała zbiorowe, gdy tymczasem u nas redakcją jest zwykle jeden człowiek, trzymający dziennikarską oberżę, w której usługuje dwu parobków, a zajeżdża kto zechce. Najpoważniejsze z pism codziennych *Gazeta Warszawska* składa się w swym zarządzie z redaktora Keniga, korektora i zarazem ministra spraw wewnętrznych Korotyńskiego i dwu tłumaczów pełniących obowiązki przekładania kilku szpalt *Gazety Szląskiej i Debatów.* Ażeby zaś dać wyobrażenie jaka jest cenzura w tej poważnej gazecie, przytoczę drobny fakcik. Ktoś pisze w niej, że w Anglji erudytami są tylko ludzie bogaci i za przykład cytuje Buckle'a. Ponieważ ten bezbożnik jest u nas jeszcze na indeksie, więc korektor i stróż moralności publicznej wymazuje go i stawia na to miejsce Macaulay'a. Wiele narzekamy na cenzurę rządową i słusznie. Ale doprawdy stokroć gorszą, a przedewszystkiem haniebniejszą jest cenzura, jaką sami u siebie dokonywamy. Redaktorowie ze skrupulatnością, którejby nie powstydził się żaden Bartsch lub Funkenstein, tropią i wykreślają każdą swobodniejszą myśl, tak że puszczone przez nich do druku artykuły, występują bez nerwów, bez krwi, bez ciała, jak odarte i spruchniałe skielety. Tak nas wpływ oficjalnej cenzury zdemoralizował, że tępimy dobrowolnie to, co tylko ucisk tępić powinien. Nieraz i w niejednym względzie ze smutkiem powiedzieć o sobie możemy: *nous sommes plus catholiques que le pape.* Za lat dziesięć urzędowi stróże naszej prawomyślności nie będą mieli nic do roboty. Świeży fakt może posłużyć za wyborną do tego illustrację. Niejaki W. Bogusławski przetłumaczył do wydawnictwa Glücksberga znakomite dzieło Vamberego: *Der Islam im neunzehnten Jahrhundert.* Autor w jednym z rozdziałów swej pracy mówi o religji chrześcijańskiej i naturalnie mówi nie jak papieski teolog, ale jak bezstronny uczony. To nie podobało się tłumaczowi, który swe studja odbywał w szpaltach Kurjerka. Opuścił więc lub zmienił apokryficzną część, usprawiedliwszy się w przypisku, że „wyżej ceni uczucia powszechności polskiej niż wywody p. Vamberego." Biedna ta „powszechność plska" kiedy jej uczuciom można publicznie składać takie hołdy. Skazano ją na wieczną małoletność, ogrodzono od cywilizacji murem i ustanowiono swojską cenzurę, która przed nią zasłania hardy promień swobodniejszej wiedzy. Jak wiadomo, między Rossją a innemi krajami nie istnieje piśmiennicza konwencja. Korzystając z tego nasi panowie tłumacze, nietylko bez wynagrodzenia przekładają zagraniczne utwory, co jest w tym wypadku rzeczą najdrobniejszą, ale nawet nie pytają się autorów o pozwolenie, nie szanują praw ich myśli, lecz bez ceremonji gospodarują sobie w cudzej własności, jak gdyby to niczem nie obrażało prostej uczciwości. Nieszczęśliwa, systematycznie ogłupiana publiczność spożywa ciągle fałszowany według bogobojnej recepty pokarm umysłowy i z sygnaturą Vamberych kupuje Bogusławskich. Nie trzeba przytem zapominać, że przy ubóstwie naszych wydawniczych środków i małym ruchu książkowym, raz w obieg puszczone w skaleczeniu dzieło zagradza na zawsze drogę wiernemu jego wydaniu. Ostatecznie Vambery polski nie jest właściwym Vamberym i nigdy już w swej postaci u nas się nie pojawi. Chociaż to dla nas bardzo kompromitujące, nie powinniśmy plamy ukrywać. Lepiej gdy własnemi usty przyznamy się do winy, niż gdyby nam ją obce wytknęły. Na ten raz trzeba przyznać znaczną wyższość Galicji nad Królestwem. Z jednej strony prawo, a z drugiej zwyczaj zmusza galicyjskich tłumaczów do ogledniejszego postępowania. Wszystkie prawie tam wydane przekłady nie noszą na sobie śladów dobrowolnej cenzury. Sądząc rzecz zdrowym rozsądkiem spytać się trzeba, kto zmusza tych prawowiernych mistrzów do tłumaczenia takich książek, które w ich ciasną głowę się nie mieszczą? Alboż literatura kąpana w mleku świątobliwego myślenia już się wyczerpała? Dziwni ludzie!

Kiedy mowa o przekładach, wspomnieć muszę o świeżo przepolszczonej etnologji Peschla (*Völkerkunde*) I tu p. dr. Wisłocki rozgospodarował się nieprawnie, chociaż z mniejszą obrazą dla niemieckiego autora i polskich czytelników. Mianowicie całą część drugą powiększył wplecionemi w tekst wypisami z Waitza, Müllera i innych. Nie szkodzi to rzeczy, ale nadużywa praw literackiej własności. Na obronę tłumacza nie można nawet powiedzieć, ażeby jego praca dokonaną była sumiennie. W wielu miejscach zdradza on nieznajomość przedmiotu lub języka. Tak np *Feuerland* (Ziemia ognista) nazywa krajem ognikowym i t. p. Delikatniejsze odcienia wyrażeń oryginału często zatarte lub źle zrozumiane. Za to przynajmniej nigdzie nie ma cenzuralnych zmian lub opuszczeń, a niektóre dodatki bardzo użyteczne.

Poetyczna nasza Muza straciła jednego z głośniejszych dziś koryfeuszów, umarł Soter Rozbicki. Nie wiele jest nazwisk, które by się u nas cieszyły równym rozgłosem. Śmiejesz się czytelniku? Przekonam cię, że niesłusznie. Wiesz, kto jest Podwysocki, Gomulicki, Szymanowski, Florjan itp.? Nie; ale kto był Rozbicki wiesz niezawodnie. Bracia jego w rymach, chociaż może przez ciąg swego życia więcej bezsensów w świat puścili, uznali za stosowne potańcować na mogile zmarłego w czapeczkach poliszynellów. Był śmiesznym, od tego nikt go nie obroni, ale że był niewinnie śmiesznym, tego nikt nie zaprzeczy. Co to komu szkodziło że olimpijski pachołek śpiewał kucharkom:

> Nie było w świecie dwóch gołąbków przecie,
> Coby się kochali się jak my się kochamy się.
> Lecz ojciec, o zagrozo! zagroził nam kozą;
> A ja byłbym cymbał, gdybym go się bym bał.

Co szkodziły koncerta Rozbickiego „na skrzypcach i własnym głosie," po których można było za grosz obejrzeć koncertanta! Co szkodziły szarady premiowane za rozwiązanie papierosem, który zwykle dostawał się żonie ich autora! W ostatnich czasach Rozbicki zatarł się w pamięci intelligentniejszego ogółu, któremu przypominał się tylko jako postać przysłowiowa. Jedynie goście biednej kawiarni, w której dziwaczny ten poeta deklamował swoje bezsensowne improwizacje, wiedzieli że żyje. Dla umysłu niezadowalającego się kpiną, był on szczególną zagadką. Żadnych śladów umysłowego pomięszania na nim nie postrzeżono, a przytem wiedzieć trzeba, że na płody swego natchnienia zapatrywał się nie tak, jak ci, którzy z nich szydzili. Przed dwoma laty byłem u jednego z warszawskich redaktorów, gdy służący zameldował Rozbickiego. Gdyby Bismark zapowiedział swoje przybycie, nie bylibyśmy tak ciekawi go zobaczyć. Poproszony wszedł śmiało i nie siadając rzekł do redaktora poważnie: „Wczoraj spotkałem w piśmie pańskiem wyrażenie ubliżające moim poezjom; przyszedłem zastrzedz sobie, ażebyś pan więcej się tego nie dopuszczał, bo poszukam satysfakcji na innej drodze." To powiedziawszy skłonił się i wyszedł, pozostawiwszy nas w niemałem zdziwieniu. Że logika cierpieć musi nieraz wielkie gwałty nawet w takiej poezji, która nie jest ofiarą szyderstw, mamy dowód w naszych krakowiakach. Bo gdzież tu np. jest sens:

> Dudni woda dudni, w cembrowanej studni,
> Pokochać się łatwo, lecz odkochać trudniej.

albo:

> Świeci miesiąc świeci, koło niego gwiazdy,
> Ciebie kocha jeden, a mnie kocha każdy.

Kto wie zatem czy Rozbicki nie był z tego gatunku poetów. Nieszczęściem jego, że zaplątał się ze swemi rymami do literatury piśmiennej. Gdyby był je układał wśród ludu, gdyby pozostały w ustnej tradycji, z pewnością badacze gminnej poezji ze czcią publikowaliby też same nielogiczności, z których się wybredni krytycy dziś śmieją. Na kilka miesięcy przed zgonem nieszczęśliwego cudaka, zmarł jego syn, podobno utalentowany skrzypek, który był ważną dla ojca podporą. Na ten raz dobrze może zrobiła śmierć zabierając młodego Rozbickiego, który prawdopodobnie musiał przez całe życie pokutować za dziedziczność swego nazwiska i nawet w prawnukach by jej nie zatarł. Na mogiłę obu rzucamy słowa serdecznego współczucia.

Właściwie należałoby w tem miejscu położyć ostateczną kropkę listu, ażeby bezpośredniem przejściem od Rozbickiego do kogoś lub czegoś nie narazić się na protest lub skargę. Niech wszakże wystarczy zastrzeżenie, że w takiem sąsiedztwie nie kryjemy żadnego przycinka.

(D. n.)

*

POGADANKI.

VI.

Kilka tygodni temu objawiliśmy naszą radość, że w dziennikarstwie galicyjskiem do tej chwili nie ma żywiołu żydowskiego. Tymczasem w dniach ostatnich przekonaliśmy się niestety, że i na tem polu czeka nas może współzawodnictwo. Wprawdzie jak dotąd, są to tylko przednie straże, lecz kto zaręczy, czy już w niedalekiej przyszłości nie będziemy musieli walczyć z całą armją...

Ubiegłej niedzieli pojawił się pierwszy numer „Gazety świątecznej“ wydawanej przez izraelitę, p. Frühlinga. Nie mamy nic przeciw osobie wydawcy, który jest razem redaktorem, bo ani go znamy, ani wiemy jakich jest przekonań; ale już sam fakt, że do wydawania pisma w Galicji wziął się izraelita, nie mało nas niepokoi.

Cokolwiek mówią teoretycy, nie da się zaprzeczyć, że żywioł żydowski jest siłą rozkładającą społeczeństwa, która to siła staje się tem niebezpieczniejszą, im liczniejszym jest ten żywioł w danej miejscowości a słabszem społeczeństwo. Tak jest u nas w Galicji: żydów liczymy na krocie a kraj jest biedny i ciemny. Taki kraj najłatwiej wyzyskiwać.

Prasa będąca jednym z najpotężniejszych czynników cywilizacyjnych bieżącego stulecia, wtedy tylko nie wywiera wpływu zgubnego, gdy jej kierownicy są ludźmi dobrej woli i szczerze kraj kochają. Prasa w rękach osób bez ojczyzny, może stać się śmiertelną bronią dla tej ziemi, na której istnieje.

Żydzi galicyjscy nie przyznali się jeszcze do polskiej ojczyzny, oni dotąd uważają się za naród odrębny, który wprawdzie kokietuje z Polakami, lecz ilekroć interes mu nakazuje łączy się z Moskalofilami, a zawsze wzdycha do Niemców.

Zapatrując się z tego stanowiska, każdy musi przyznać, że byłoby wielkiem dla nas nieszczęściem, gdyby cała prasa galicyjska przeszła w ręce żydowskie.

Nadto dobrze znamy stosunki krajowe, byśmy pod tym względem nie mieli pewnych obaw. Wydawanie pism wymaga wielkich kapitałów, których brak ludności polskiej. Żydzi natomiast mają pieniądze, to też łatwiej mogą rozpoczynać wydawnictwa, i łatwiej mogą przetrwać złe czasy. Nie zapominajmy również, że nawet ten, który dziś jeszcze nie czyta, będzie kupował i czytał, gdy Icek lub Moszko przyniesie mu pismo do domu i da na „kredyt“, za co później policzy sobie dobrą lichwę. Polak, a szczególnie szlachcic polski, ma słabość do żyda, chociaż chętnie mu złorzeczy...

Sprawa żydowska domaga się u nas wpierw wszechstronnego załatwienia, a dopiero potem będziemy mogli mówić o równouprawieniu żydów pod każdym względem. Wprawdzie rząd już dawno ich równouprawnił, lecz ponieważ był to czyn przedwczesny i dla kraju szkodliwy, gdyż żydzi galicyjscy jeszcze na to nie zasługiwali — więc obowiązek nakazuje nam czynić teraz wszystko, cokolwiek uszczupla wpływ tego żywiołu.

Już słyszymy jak nam mówią: „Uznajcie żydów za braci, pozwólcie im robić, cokolwiek zechcą, a zostaną Polakami“. Odpowiemy im na to: „Jesteście teoretykami. Ten kto wszystko łatwo otrzymuje, nie zrzeka się potem dobrowolnie praw swoich. *Niech żydzi zostaną wpierw Polakami, a potem wszystko im damy*. Dopóki to nie nastąpi, będziemy ich uważali za żywioł, którego trzeba się wystrzegać“.

Kto wie czy także nie usłyszymy innych głosów: „Zróbcie żydów Polakami, a będą nimi“. Jakto, więc w Galicji jest ich przeszło pół miljona i my o nich myśleć mamy? Żyją na naszej ziemi, karmią się chlebem naszym, a sami o swojej reformie myśleć nie mogą? Jeżeli czasem zbliżają się do nas to tylko przelotnie, ale z całą otwartością i szczerością nigdy nam jeszcze ręki nie podali. Dla czego do tej chwili nie zawiązali kółka z osobistości wybitniejszych, któreby uczciwie pracowało nad spolszczeniem żydów galicyjskich? Dla czego p. Frühling zaczął wydawać pismo dla *publiczności polskiej*, którego ona nie potrzebuje, a nie takie, któreby *dla żydów* było przeznaczone? Dla czego po dziś dzień nie mają organu na wzór warszawskiego „Izraelity?“

Są to zarzuty tak ciężkie, że chyba chorobliwi teoretycy nie pojmą ich znaczenia.

Jesteśmy zwolennikami postępu, ale równocześnie wiemy, że nie wszystko, co gdzieindziej okazało się dobrem, będzie i u nas dobrem. Żadna reforma nie wyda zbawiennych owoców, jeżeli rola pod jej zasiew nie zostanie wpierw należycie przygotowaną. Jesteśmy pewni, że gdyby w sławnej ze swego liberalizmu Anglji było stosunkowo tylu żydów, ilu ich jest w Galicji, i gdyby tak wyglądali jak do tej godziny wyglądają galicyjscy, nie byliby oni tam równouprawnieni, i każdy Anglik wołałby, by dziennikarstwo nie przeszło w ręce żydowskie.

Gazeta świąteczna p. Frühlinga jest dotąd drobnostką, wszelako i ta drobnostka potwierdza nasze obawy. W pierwszym numerze okazowem redaktor umieścił artykuł programowy, w którym jednak nie zamarkował swego stanowiska w obec sprawy polskiej, i ledwie raczył nadmienić, że będzie uwzględniał „stosunki miejscowe“. Więc pismo polskie, na polskiej ziemi wychodzące, ma być takie bezbarwne, nijakie? Dziękujemy za takich szermierzy.

Podnieśliśmy głos w sprawie bardzo drażliwej, i kończymy wynużeniem obawy, że jeżeli publiczność polska nie będzie gorliwiej popierała istniejących już dzienników, wydawanych i redagowanych przez Polaków, prędzej może niźli się tego spodziewamy, większość prasy galicyjskiej przejdzie w ręce żydowskie.

A tego nie chcielibyśmy dożyć.

* * *

Żydzi warszawscy stoją pod względem umysłowym nierównie wyżej od galicyjskich, a despotyczne rządy rossyjskie, niechętne izraelitom, zmuszają ich do łączenia się z Polakami, którzy nie mniej jak oni są ciemiężeni. Mimo takiej wspólności interesów, opartej na obopólnej praw swoich obronie, nie możemy powiedzieć, by prasa warszawska cokolwiek na tem zyskała, że żydzi rej w niej wodzą. Weźmy pismo najbardziej rozpowszechnione, *Kłosy*. Przynoszą one obrazki, czasem dobre, częściej bardzo mizerne, i treść obfitą co do ilości, lecz nijaką pod względem jakości. Wiemy o innych pismach warszawskich, że są bądź konserwatywne bądź liberalne, ale o *Kłosach* nie można nic powiedzieć, ponieważ ich wydawca myśląc głównie o robieniu majątku, nie wdaje się w żadne spory, nie głosi żadnych zasad i daje pismo bezbarwne, aby nikogo nie obrazić a tem mniej rozgniewać. Takie pisma są dla kraju bez wartości.

Weźmy teraz *Gazetę polską*, wydawaną także przez żydów. *Gazeta polska* była na gruncie warszawskim pierwszem pismem, które przed dwoma laty ośmieliło się przemawiać za porozumieniem z Moskalami. Oto jak wygląda patrjotyzm tych panów...

Ktokolwiek im się w Warszawie nie kłania, może być pewnym obojętności, nawet szykan; kto ich za wielkich uważa, otrzymuje sam patent na wielkiego.

Na dowód niech posłuży wyjazd pani Modrzejewskiej. Stolica wielbiła tę artystkę, a prasa zostająca pod wpływem żydów, tak ją nękała i drażniła, że pani M. chcąc nie chcąc musiała ustąpić. Przyszło było nawet do tego, że ją publicznie szykanowano na scenie. Są to głośne tajemnice, o których godzi się raz wspomnieć.

Jesteśmy za spolszczeniem żydów, ale takiem, które Polsce korzyść przynosi; dopóki więc oni nie przyznają się całą duszą do Polski, musimy ich uważać za niebezpiecznych dla naszego narodu.

* * *

Staraniem i kosztem gminy miasta Lwowa, stanie wkrótce na placu Krakowskim wielki bazar żelazny, przeznaczony dla przekupniów. Mieszkańców ucieszyła ta nowość, bardzo zresztą potrzebna, bo niejednemu zdaje się, że po otwarciu bazaru wszystko natychmiast potanieje. Tymczasem i bazar otworzą, a taniej nie będzie, bo Lwów nie jest miastem dobrze administrowanem.

Do koła Lwowa mamy krów tysiące, a w mieście pijemy serwatkę zamiast mleka, a mleko zamiast śmietanki. Galicja wywozi rok rocznie krocie wołów za granicę, a my za najgorsze mięso płacimy drożej, jak Wiedeńczycy za najlepsze. I tak dalej we wszystkich gałęziach naszego gospodarstwa domowego.

Fatalnym tym stosunkom osoby pojedyncze nigdy tamy nie położą, jeżeli sama rada gminna nie przyłoży ręki do dzieła. Handel i przemysł tylko tam się podnoszą, gdzie rząd wspiera je należycie; a w tych tylko miastach jest tanio, gdzie gmina rozumną utrzymuje administrację.

Udowodnimy to przykładem.

W wielkich halach paryskich jest kilkudziesięciu senzalów, którzy z całego kraju otrzymują na sprzedaż najrozmaitsze produkta; po sprzedaniu odsyłają pieniądze właścicielom. Ponieważ właściciel sam do Paryża jeździć nie potrzebuje, więc swój produkt może znacznie taniej odstąpić. Dzięki tej instytucji senzalów, Paryż był zawsze jednem z najtańszych miast w Europie.

Czy nie możnaby w nowym bazarze lwowskim ustanowić choć kilku takich senzalów, którzyby nawiązali stosunki z miejscowościami, położonemi wzdłuż linij kolejowych? Gdyby to uczyniono, do kilku miesięcy pewnie byłoby taniej.

Jeszcze jedna rada.

Za oszukiwanie na wadze i fałszowanie nabiału, powinno się karać w sposób używany także w Paryżu. Oto na sklepie kupca, który oszukał, albo na budzie przekupnia, który się tego samego czynu dopuścił, magistrat przybija ogłoszenie z dokładnym opisem czynu winowajcy. Publiczność czyta i unika fałszerza. Kara to stokroć surowsza, aniżeli grzywna, bo może od razu zrujnować, to też kupcy boją się jej jak ognia.

Nie zaszkodziłoby aby ojcowie naszego miasta wybrali kiedyś komisję z osób fachowych i nie interesowanych, któraby się zastanowiła

nad środkami, mogącemi położyć tamę panującej dziś drożyźnie, bo jeżeli rzeczy pójdą trybem dotychczasowym, we Lwowie będzie wkrótce tak drogo, że tylko ludzie mający po kilka tysięcy rocznego dochodu, będą się jeszcze mogli utrzymywać. Inni albo z głodu wymrą, albo tłumnie wyemigrują.

Józef Rogosz.

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeliś się łaskawy czytelniku dobrze przyglądał grobowcom Jana Olbrachta na Wawelu, lub Spytka Jordana, kasztelana krakowskiego († 1568) w kościele św. Katarzyny na Stradomiu, to wyobrazisz sobie wielkość nagrobka Tarnowskich, gdy powiem, że większy jest od nich przeszło dwa razy, albowiem wysokość jego z górą 40 stóp wynosi. Nie byłoby to przecież przymiotem owego pomnika, gdyby za nim nie przemawiały wysokie artystyczne względy. Całość jego rozpada się na dwa piętra, z których ostatnie znacznie wyższe od dolnego zaokrągla bogaty fronton, ozdobiony dwoma posągami aniołów i świętym, co stanął na szczycie monumentu. Pierwsze piątro tego pomnika, spoczywające na dosyć wysokiej podstawie basztowego charakteru, wprowadzeniem dwu pilastrów zostało podzielone na trzy pola prostokątne, z których środkowe największe obejmuje sarkofag, na którym legła postać naturalnej wielkości Krysztofa Tarnowskiego, co zmarł 1567 r. Rodzaj kotary lub namiotu zwisłego falisto nad sarkofagiem zapełnia resztę tła owego marmurowego prostokąta. Dwa pola znów boczne, z których każde rozpada się na dwie części, składają napisy i wojenne sceny, rzezane misternie na białym marmurze sposobem płaskorzeźby. Tak samo jest rozczłonkowane i drugie piętro z tą tylko różnicą, że pilastry usadowiły się na krawędziach tej części pomnika, a dwie piękne kolumny zakreślają granicę samego grobowca Jana Tarnowskiego († 1561), którego układ jest taki, jakiśmy widzieli w poprzednim. Pola zaś boczne wypełniają dwa posągi świętych, umieszczone w niszach, pod któremi osadzono płaskorzeźby. Na powierzchni znowu architrawu widzimy napisy i tafle z rzeźbionemi obrazami ważniejszych momentów wojennych, dokonanych przez Jana Tarnowskiego. Dalej skromny ale poważny i estetyczny gzyms i fronton przybrany posągami i płaskorzeźbą dwóch aniołów, wypełniających pole pozafrontonowe facjaty, zakreślają ogólny obraz naszego pomnika.

Szkoda, że M. Palavini, a nie żaden Polak jest autorem tego pomnika, co go w XVIII stuleciu Jan Paneczek przez dziesięć lat restaurował; tyle w nim powagi i estetycznego wdzięku, że w każdym razie może się on zaliczyć do przedniejszych okazów sztuki. Ale trudno, genjusz włoski stworzył renesans, nic więc dziwnego, że go sam zaszczepił po świecie. Każda sztuka przedstawia wiele imion włoskich w XVI i XVII stuleciu, Niemcy się niemi posiłkują przeważnie, naturalnem przeto, że z Boną razem sztuka i mistrzowie włoscy zawitali do Polski. Jakoż patrząc na pomnik Tarnowskich, widzisz w nim wszystkie znamiona renesansu z XVI wieku. Nie mówiąc już o tej wielkiej i uroczystej powadze samego dzieła, musisz w nim podziwiać prostotę form, podniesionych do warunków piękna. Zacząwszy bowiem od poważne podstawy, aż do facjatowego szczytu, wszystko się tutaj zaleca harmonijną rytmicznością linji i konsekwencją w przeprowadzeniu ornamentacyjnych szczegółów. Nie znajdziesz tu wprawdzie bogactwa ozdób i grotesek, ale bo ich też być nie powinno w pomniku takiego męża jak Jan Tarnowski; jego życie pełne powagi i znaczenia, więc i pamięć o nim musiała się odpowiednio objawić dla przyszłych pokoleń. Hetman i zwycięzca z pod Obertyna legł na kamiennym sarkofagu, niby na chwilę spoczynku, a w zadumie przesunęły mu się przez myśl wojenne sceny jego życia; sceny to wielkie i piękne, więc im trzeba było w odpowiednich kształtach wystąpić. Zatem płaskorzeźby złożyły się na ową epopeję czynów nieboszczyka.

Lecz nie opisywać nam szczegółów pomnika, co powinien być celem osobnego studjum, notatka podróżnika nie pozwala na takie zbyt długie zboczenie, dodamy więc tylko, że do całości owego monumentu użył Palavini doryckiego porządku; linja zatem pozioma pełna szlachetnej grozy i powagi domninuje tu przedewszystkiem, a czerwone i białe marmury, w żywości barw swoich złagodzone wpływem czasu, dostrajają ogólną harmonję pomnika do wysokiej skali artystycznej. Że nie widać w nim polotu fantazji lekkiej i samodzielnej, ale każdy szczegół zdaje ci się przeprowadzonym prawie z matematyczną ścisłością; łatwo to bardzo zrozumieć zwróciwszy uwagę na dzieje sztuki tej epoki w której nasz pomnik powstał. Są to właśnie czasy największej twórczości Palladiusza, Scamozziego, Vignoli, Michała Anioła i tylu innych mistrzów, dla których nie wystarczała fantazja architektoniczna, ale genjusz ich potęgował się umiejętnem i bystrem badaniem motywów sztuki starej Grecji i Rzymu. Ztąd też utwory architektoniczne tracąc nieco na miękkości i kwiecistym wdzięku, odznaczają się całą potęgą refleksji i artystycznej powagi. Co się zaś tyczy naszego pomnika, a mianowicie charakteru jego renesansu, nosi on na sobie wszystkie znamiona utworów szkoły Vignoliego, co każe nam wnioskować, że Palavini na wzorach tego mistrza się wykształcił.

Jedna tylko okoliczność psuje cokolwiek harmonję tarnowskiego pomnika: jest nią wygięcie ścian bocznych szczytowej facjaty, wznoszącej się po nad poważnym i wdzięcznym frontonem. Wygięcie takie, jakby połowę esowej linji, stanowi zapowiedź maniery renesansowej, która niedługo ma się tak rozwielmożnić w sztuce pod wpływem Carla Maderna i Lorenza Berniniego. Zapowiedź jednakże barrokizmu nie jest tu jeszcze tak rażąca, choć jak to już nadmieniliśmy, psuje nieco ogólną harmonję linji.

Daleko za to wyraźniej objawił się barrokizm w kolosalnym pomniku kollegjaty tarnowskiej, wzniesionym przez Jana Pfistera z Wrocławia dla Janusza Ostrogskiego (1612 †) i Zuzanny Seredzianki († 1596). Tutaj już maniera zapanowała w całej sile, a niekonsekwentnie przeprowadzona ornamentacja owładła w zupełności owem dziełem sztuki; więc krawędzie i szczyt pomnika postrzępiły się esowatemi linjami, w których byś próżno śledził praw logicznego związku w stosunku do całości architektonicznej dzieła. Imponuje wprawdzie ten pomnik kolosalnemi rozmiarami i mnogością marmurów, nie uderzy cię przecież artystyczną konsekwencją rozczłonkowania i harmonijną rytmicznością linji. Nie można jednak powiedzieć, żeby same wady znamionowały utwór Pfistera. Artysta podlegał wprawdzie silnie manierom barrokizmu, nie zatracił przecież w sobie poczucia piękna. Objawia się to szczególniej w uwydatnieniu artystycznego ogniska, obok którego grupuje się reszta pomnika.

Tak tedy dominującą częścią tego dzieła jest duża arkadowa nisza, którą otaczają esowa podstawa, dwie brzezne, ujęte kolumnami korynckiemi, niże z posągami i prostokątny szczyt z wyciętym frontonem. Cała więc siła artystyczna koncentruje się w środkowem polu monumentu, które wypełnia ukrzyżowany Chrystus i u stóp jego klęcząca familja Ostrogskich modląca się za nieboszczykiem. Scen tego rodzaju można wiele spotkać w pomnikach i obrazach wotywnych średnich stuleci, tylko kiedy w nich figury modlących się grup są maleńkie w rozmiarach w stosunku do postaci Zbawiciela, tutaj wystąpiły one w naturalnej wielkości, tak że nie psują wcale artystycznych warunków kompozycji. Owszem proporcjonalność ich w stosunku do całości obrazu, szlachetność linji i wyrazu tak w Chrystusie jak i modlących się postaciach, oraz pewna harmonja tonów, sprawiają nader miłe estetyczne wrażenie, każące na chwilę zapominać o całości pomnika. I łuk arkadowy przybrał się tu wdzięcznie w profilowane rozety i emblemata rozliczne. (C. d. n.)

Listy ze świata.

II.

(Dokończenie).

Paryż d. 1. Września 1876 r.

Dla uzupełnienia tego możliwie streszczonego poglądu na artystyczne znaczenie niemieckiego kompozytora i na wartość ostatniej jego produkcji, dodajmy słów kilka o miejscu wybranem przezeń na pole popisów i o teatrze świeżo tam w tym celu zbudowanym. Beyreuth, to trzeciorzędna bawarska mieścina, licząca zaledwie 17,000 mieszkańców. Co w niej upodobał sobie kaprys artysty, to zagadka trudna do rozwiązania. Tyle innych, większych i piękniejszych miast niemieckich przedstawiało mu o wiele więcej korzystnych dla przedsięwzięcia warunków. Niedaleka Norymberga, istny klejnot architektoniczny, godziła się stokroć lepiej na scenę widowisk odświeżających zamgloną przeszłość Germanji. W Mannhejmie, nad brzegami owego ojczyznę niemiecką uosabniającego Renu, gotowy, olbrzymi gmach teatralny, mógł mu oszczędzić znacznych kosztów budowy. Frankfurt nakoniec, stolica niegdyś unji Germańskiej, gościnne otwierał mu wrota. Nie! Przemógł dziwaczny kaprys artysty, i Beyreuth, drobna mieścina, na przyjęcie licznych, przysposobiła się gości.

Kapitał przeszło 1,000,000 fr. z publicznych zebrany składek, ledwie wystarczył na budowę gmachu z drzewa, mogącego pomieścić 1,544 widzów. Brzydki, jak nowią, zewnętrznie gmach ten, wewnątrz doskonałym odznacza się ustrojem Scena nieznanych dotąd rozmiarów, ma mieć przeszło 40 metrów szerokości a 80 głębokości, co ułatwia doskonałość maszynerji. Orkiestra umieszczona w dole przy wejściu na scenę, niewidzialną jest dla spektatorów. Sala mieszcząca tych ostatnich, zawiera jeden tylko rząd lóż, przeznaczonych dla głów koronowanych i jest zajętą prawie wyłącznie ustawionemi w formie amfiteatru rzędami foteli. Na przypadek pożaru, dwanaście różnych wejść, sześć z każdej strony, pozwalają tłumowi przepełniającemu wnętrze, rozejść się spokojnie i bez ścisku w przeciągu niespełna minut dziesięciu. Cztery przytem wielkie rozerwoary wody umieszczone na czterech rogach gmachu, natychmiastowem zalaniem

wnętrza, mają pożar zupełnie uniemożebniać. Kiedy klęska ogniowa tak często niweczy po innych miastach murowane teatry, to środki zapobiegające jej w drewnianym, nie mogą być posuniętemi za daleko.

Na takiej to dobrze po temu przygotowanej scenie, artysta niemiecki wydał wojnę „Muzyce Przeszłości“ i nowej, wyższej według niego, sztuki położył podwaliny. Jakkolwiek nie wierzymy, dla wyżej wymienionych powodów, by ta kampanja jego ostatecznym uwieńczoną być mogła tryumfem; jakkolwiek twierdzimy, iż w tej wyzwanej na boje muzyce przeszłości, są piękności, o jakich nie śniło się nawet zapalczywemu jej antagoniście, w każdym jednakże razie nie możemy nie przyznać pomysłowi jego, w braku innych zalet, tej przynajmniej śmiałości i oryginalności, i przypuszczamy, że wywołując emulację, rozbudzając ruch muzyczny, pomysł ten może dla sztuki rzeczywistą zrealizować się korzyścią.

Lepiej iść naprzód chociażby błądząc, niż spuszczając się na to, co ktoś tam zrobił przed nami, zasypiać bezpłodnym snem gnuśności.

Ale dosyć już o tem i list niniejszy innemi dopełnimy rzeczami.

Śmierć sutą tu sobie w ostatnich dniach wyprawiła ucztę. Trzy, każda w swoim rodzaju znakomite osobistości: Ludwik Wołowski (ekonomista), Fromentin (malarz i pisarz zarazem), nakoniec Felicjan David (kompozytor muzyczny) do lepszego przeniosły się żywota.

Pierwszy z nich, nasz eks-rodak, urodził się 1810 r. w Warszawie. Wziął udział w rewolucji 1830 r. i wyemigrowawszy za granicę do Francji w 1835 r. postarał się o tutejszą naturalizację. Karjera jego w nowoprzybranej ojczyźnie świetną była i dobrze zapełnioną. Autor wielu cennych prac ekonomicznych wybrany w 1848 r. na członka Izby Prawodawczej, Wołowski umiał ten wybór zaszczytny, dla cudzoziemca zwłaszcza, usprawiedliwić szeregiem istotnych zasług. Jego to pomysłowi, jego staraniom, zawdzięcza Francja założenie „Towarzystwa kredytowego“ (*Crédit Foncier*) instytucji, która w tak znacznej mierze przyczyniła się do rozwoju bogactwa krajowego. Ale też z drugiej strony, nieboszczyk nie miał prawa skarżyć się na niewdzięczność narodu, dla którego z szczerą pracował usilnością. Z kolei profesor w konserwatorjum „Sztuk i rzemiosł,“ członek „Akademji nauk moralnych i politycznych,“ oficer legji honorowej, deputowany po raz drugi w 1871 roku, członek Wyższej „Rady handlowej,“ wreszcie dożywotni senator w 1875 r. Wołowski sutą jak widzicie za zasługi swoje otrzymał nagrodę i może z czasem byłby zaszedł aż do ministerjum, gdyby śmierć nie stanęła mu w tem na przeszkodzie. Zostawia jedną tylko córkę poślubioną panu Passy, także znanemu w ekonomicznym zawodzie pisarzowi.

Drugi z rzędu, Eugenjusz Fromentin, jako malarz widoków Południa i Wschodu niepoślednie w kole młodszej generacji artystów wyrobił był sobie stanowisko. Na ostatniej jeszcze wystawie, dwa jego pejzaże z okolic Nilu, silnie publiczną zajmowały uwagę. Ubóstwiany przez kolegów i uczniów, zasiadał we wszystkich prawie komisjach artystycznych i głos jego w naradach wielkie miewał znaczenie. Obok laurów zżynanych na polu malarstwa, zbierał drugie na polu literatury. *Revue des deux Mondes* opublikowało niezbyt dawno znakomitą jego pracę pod tytułem „Dawniejsi mistrze“ (*Les maitres d'autrefois*), w której z nader jasnym poglądem na rzecz mówił o artystach holenderskich i flamandzkich, z czem łączył język nader poprawny, a styl istnie wzniosły i malowniczy. Kandydat w ostatnich czasach do „Akademji francuskiej“ miał za sobą 15 głosów i omal nie został wybranym. Umiera bardzo jeszcze młodym w chwili pełnych tryumfów, kiedy publiczność sądząc po rzeczach już dokonanych, najpiękniejsze o przyszłości jego rokowała sobie nadzieje.

Trzeci nakoniec Felicjan David był po Gounod'zie pierwszym niezaprzeczenie z współczesnych kompozytorów Francji. Utwory jego: „Pustynia“ (*Le désert*), „Krzysztof Kolumb,“ „Lalla - Rukh,“ „Eden“ itd. niezasługując zapewne jeszcze na miano arcydzieł, w każdym razie są już niepośledniemi rzeczami. „Lalla-Rukh“ zwłaszcza odznacza się oryginalną, pewnym smętkiem Wschodu silnie nacechowaną melodją. Zarzucano mu monotonność natchnień. Zapewne, że urozmaicenie takowych bywa cechą wielkich mistrzów. Ale w sumie lepiej jedną i tęż samą wywodzić nutkę, a dźwięcznie, a czysto, a z uczuciem, niż rzucać onych na wiatr tysiące, a fałszywie i bez myśli. Nieboszczyk kompozytor miał tę przynajmniej zaletę, że wybierał przedmioty stosowne do swych usposobień wewnętrznych, i że raz wybranych nie kaleczył bez miłosierdzia jak to czyni żyjący kolega jego p. Ambroise Thomas, który posługując się tak szczytnym naprzykład tematem jak Hamlet Szekspirowski, pod nudną i pustą podłożył go muzykę. Kogo nie stać na wspaniały dramat, kogo stać na zgrabne tylko komedyjki, ten lepiej uczyni trzymając się takowych i nie wyruszając na nieswojskie dlań szlaki. Zasady tej trzymał się Felicjan David. Dzięki zapewne reminiscencjom krwi, znalazł był w swej piersi jedną nutę, coś jak gdyby smętne echo oddalonej pustyni wschodniego nieba, i powtórzył ją kilka razy nie bez wdzięku i powodzenia. Wolał to niż kaleczyć „Macbethów,“ „Królów Lirów“ i t. d. Zaiste miał rację.

Spokój wszystkim!

Otośmy i u kresu i nie pozostaje nam nic jak drugi ten list letni, pełnym szacunku dla czytającej publiczności zakończyć ukłonem.

Do następnego

J. S. Chamiec.

TEATR.

(„Złe ziarno,“ komedja w 3 aktach Kazimierza Zalewskiego.)

Jest to trzeci z kolei utwór dramatyczny, z którym p. Zalewski występuje przed publicznością. Pierwszym była komedja „Z Postępem,“ drugim komedja „Przed ślubem“ (na scenie lwowskiej obydwa te utwory przedstawiane były w odwrotnym porządku), dziś mamy przed sobą trzeci utwór tego autora, komedję „Złe ziarno.“ „Przed ślubem“ jest przeważnie komedją charakterów, bez wybitniejszej „tendencji,“ wypowiada myśl ogólno-ludzką: poświęcenia własnego szczęścia dla szczęścia drugiej istoty, gdy tak każe przekonanie i uczciwość. „Z Postępem“ jest komedją o tendencji społecznej i traktuje ona kwestję arystokracji rodowej, jak ta kowa, zdaniem autora, przedstawia się wśród dzisiejszych stosunków społecznych. W niniejszym utworze pragnął autor połączyć obydwa powyższe kierunki i stworzyć komedję społeczną charakterów. Za przedmiot obrał sobie chorobę, objawiającą się w dzisiejszem młodem pokoleniu, a sprowadzającą takie następstwa, jak „złe ziarno,“ rodzące zatrute owoce. Tą chorobą jest żądza zapewnienia sobie życia wygodnego i próżniaczego, chociażby nawet kosztem sumienia, serca, wszystkich lepszych i szlachetniejszych popędów, ku czemu używane bywa zazwyczaj jako środek: bogate ożenienie się. Ofiarą tej choroby jest właśnie bohater niniejszej komedji, Jan Bogusz (p. Ładnowski) który dla majątku ożenił się z Amalją (pani Maj), bogatą wdową, starszą od niego, słabego umysłu kobietą, której nie kochał i nie kocha. W takiem położeniu może się czuć szczęśliwym tylko człowiek pozbawiony rozumu i serca. Ale Bogusz na swoje nieszczęście nie potrafił się wyzuć całkiem ani z jednego, ani z drugiego. Nudzi go więc i dręczy to życie czcze i bezcelowe, pędzone próżniaczo i bezmyślnie, obudzają się zwolna przytępione lepsze instynkta, a na dobitek obudza się na wpół zaumarłe serce, i wtedy poznaje nagle, jakim był dotąd nędzarzem!... Przedmiotem tych rozbudzonych w nim nagle uczuć miłosnych jest własna jego pasierbica, córka jego żony, Marynia (p. Zimajer), szesnastoletnia pensjonarka. Autor kazał się bohaterowi swojemu zakochać we własnej pasierbicy, bo tym sposobem powstawała dramatyczniejsza kolizja. Ten zaś obrał za przedmiot swej miłości szesnastoletnią pensjonarkę, bo miłość zazwyczaj nie rozumuje tak logicznie, jak krytycy teatralni... Koniec końców serce naszego bohatera dopominało się nagle o swe prawa, i to w sposób tak gwałtowny i bezwzględny, że byłoby ztąd przyszło do Bóg wie jakiej awantury, zwłaszcza że Bogusz, niepomny swej roli ojczyma a zaślepiony miłością, wyzywa na pojedynek narzeczonego Maryni, Kazimierza Zbrodzkiego (p. Woleński), gdyby nie stary Major (p. Zboiński), przyjaciel ojca Maryni, duch opiekuńczy tego domu, który w stanowczej chwili, zmiarkowawszy o co rzecz idzie, bierze naszego bohatera *ad coram*, udziela mu zasłużonej lekcji i niweczy jego zamiar. Bogusz zrozpaczony, nie widzący dla siebie racji dłuższego życia, zamierza je sobie skrócić kulą, lecz w tej chwili Marynia przyprowadza mu synka, o którym był zapomniał, i tym sposobem wskazuje mu nowy cel życia.

Myśl swojego utworu wcielił autor w postać głównego bohatera Bogusza. Powinien był zatem charakter jego zaraz z początku przedstawić jasno i wyraziście, aby uzasadnić dalsze jego postępowanie, przeprowadzić go przez szereg kolizyj dramatycznych, z którychby rozwiązanie logiczne wypływało. Należało uwidocznić proces psychologiczny odbywający się w tym człowieku, przedstawić jego przebieg i uzasadnić wyniki. Tymczasem przez dwa pierwsze akta nie widzimy prawie bohatera, nie znamy go wcale. Dopiero w trzecim akcie pokazuje się on takim, jakim jest. To też właściwie w trzecim akcie mieści się cały dramat, podczas gdy dwa pierwsze do rozwiązania rzeczy w niczem się prawie nie przyczyniają. Akt 2gi zwłaszcza, oprócz sceny końcowej, w której Bogusz wyzywa Zbrodzkiego na pojedynek, jest zupełnie zbytecznym, i utrzymuje się tylko niepospolitym talentem scenicznym autora. Także i akt 1szy, jakkolwiek znakomicie napisany, dla przeprowadzenia głównej akcji jest obojętnym. Tak więc sam wątek akcji dramatycznej jest nader szczupły, i autor zapełnia go scenami, mającemi na celu scharakteryzowanie osób współdziałających.

Pomiędzy osobami temi jest kilka stanowiących niejako *pendent* do osoby głównego bohatera; są to odmiany tego samego typu, pojedyncze *species* tego samego rodzaju „złego ziarna.“ Do tych należą: hr. Fajtaszko (p. Dobrzański), karykatura arystokraty rodowego, uzasadniający swe pretensje do próżniaczego a wygodnego życia na prawach, jakie mu zdaniem jego nadawać ma wyższe urodzenie. Figura ta nie potrzebowała być tak kompletnym idjotą, aby być dostatecznie śmieszną, przeciwnie traci ona przez to na prawdziwej komiczności i budzi raczej politowanie. Fajner (p. Fiszer), typ dzisiejszego arystokraty pieniężnego, człowiek zawdzięczający swe stanowisko społeczne i towarzyskie majątkowi, a tem samem w majątku upatrujący *ultimam rationem* wszystkiego na świecie. W gruncie posiada on nawet pewne instynkta szlachetniejsze, rozum bystry i sąd trafny; musiał zapewne wiele znieść upokorzeń, zanim zrównał się z tymi, którzy nim pomiatali, to też daje im teraz czuć potęgę swego złota i przy każdej sposobności odpłaca się ostrym sarkazmem. Alfred Rucki (p. Kwieciński), wyuzdany cynik, gotów w każdej chwili poświęcić dla swego celu wszystko i wszystkich, zuchwały bezczelnością tylko utrzymujący się jeszcze na wierzchu. W końcu Henryk Worszyłło (p. Walewski), chłopak z dobrem w gruncie sercem, obałamucony wpływem złego towarzystwa. Fajner i Rucki, obie te postacie z życia wyrwane, z wielką prawdą nakreślone, szkoda, że tak bladych tym razem w pp. Fiszerze i Kwiecińskim znalazły przedstawicieli. Stary Major, postać sympatyczna ale już trochę zużyta. Marynia, także często już powtarzany typ dziewczęcej naiwności, posiada jednak niezaprzeczenie pewien wdzięk oryginalny, który p. Zimajer znakomitą swą grą umiała podnieść. Amalja zato jest postacią bladą i konwencjonalną, a p. Maj swą grą ckliwie-patetyczną nie zdołała bynajmniej ją sympatyczniejszą uczynić. Skoro już mowa o artystach, należy przyznać p. Ładnowskiemu, że rolę Bogusza odegrał skończenie i niejeden rys w niej dopełnił i uwydatnił, zarzucilibyśmy mu tylko (co od pewnego już czasu u niego zauważyliśmy) przesadną nieco grę twarzy, a zwłaszcza ócz, co wygląda na zbyteczne gonienie za efektem, a sprawia właśnie skutek przeciwny.

Komedja „Złe Ziarno,“ pomimo wytkniętych powyżej błędów, które stawiają ją niżej od „Przed ślubem,“ posiada jednak zalety, jakiemi tylko prawdziwy talent dramatyczny poszczycić się może. Naturalność w prowadzeniu akcji scenicznej, ta naturalność, która sprawia, że się na scenie zdaje widzieć życie, prawda w sytuacjach tak niewymuszonych, prostych a zajmujących, łatwość pomysłów, które same z siebie zdają się przychodzić, wdzięk, humor i werwa djalogu, we wszystkiem miara i dystynkcja artystyczna — to wszystko są zalety niepoślednie, które świadczą, że p. Zalewski posiada sam jeden

więcej talentu dramatycznego, niźli dziesięciu krytyków byłoby mu w stanie odmówić. Lecz talent taki uprawnia z drugiej strony do większych wymagań, które zadowolić można tylko — ciągłym postępem...

Ar-y.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Notatki do dziejów i historja ostatnich 98 lat Rzeczypospolitej Polskiej, przez Józefa Bezmaskiego. — Toruń, nakładem autora — 1876.

W ostatniej chwili otrzymaliśmy tę książkę, dla tego nie możemy jeszcze wydać o niej sądu: wszelako z pobieżnego już przeglądu przekonaliśmy się, że autor sumiennie zebrał materjał, należycie go uporządkował i spisał językiem czystym. Bezstronność sądu, należy także do zalet autora.

— Juljusz Słowacki, Balladyna. Tragedja w 5 aktach. 16ka str. 175. Księgarnia Polska. 1877 r.

Książka ta wyszła w osobnem wydaniu jako 40 tomik Bibljoteki Mrówki.

— Chrzest polski. Powieść ze zdarzeń ostatnich w 3 częściach przez J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego. 8ka. str. 624. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1877.

Powieść ta znana naszym czytelnikom, gdyż była pierwotnie drukowaną w „Tygodniu".

— Deli Petko. Powiastka podług legendy bułgarskiej. Przez Karola Brzozowskiego 8ka str. 105 Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1876.

Jest to bardzo ładna powiastka, pełna poetycznego uroku. W krótce zamieścimy obszerniejszy rozbiór.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Jakiś p. Bierer, *k. k. Gerichtsarzt in Lemberg*, zaczął wydawać we Lwowie dwutygodniowe pismo w języku niemieckim pt: *Galizischer Beobachter.* Nie rozwodzimy się nad tą publikacją, której pierwszy już numer zapowiada kierunek nieprzyjaźny narodowi polskiemu, za to, że ten naród żydów przytulił i karmi ich krwią swoją, którą oni tak namiętnie z jego łona wysysają — a poprzestaniemy dziś na uwadze, że p. Bierer powinien w swojem piśmie wystrzegać się cytatów polskich, bo w każdem słowie polskiem jest u niego przynajmniej jeden błąd. Nie świadczy to bynajmniej o jego wykształceniu!

— Ubiegłego tygodnia bawił w naszem mieście dni kilka p. Zaleski, autor komedyj „Przed ślubem" i „Złe ziarno" i był na przedstawieniu obu tych utworów. Przez oba wieczory publiczność tłumnie napełniła salę teatralną i autora wywoływała kilkakrotnie.

— W Krakowie wyszedł w czterech tomach „Wybór poezyj Teofila Lenartowicza". Wyboru dokonał sam autor, a sprzedaż dzieła przeznaczona na jego własną korzyść.

— W teatrze lwowskim wystawiono d. 5. bm. drugi raz operę Verdiego „Foskari".

— Właśnie opuściło prasę dzieło profesora prawa kanonicznego przy tutejszym uniwersytecie Dra Edwarda Rittnera p. t. „Oesterreichisches Eherecht systematisch und mit Berücksichtigung anderer Gesetzgebungen dargestellt." Dzieło to wyszło nakładem znanej firmy Dunkera i Humblota w Lipsku i zawiera str. 367.

— Warszawskie dzienniki w ostatnich czasach biorąc asumpt z mylnie podanej wiadomości o przygotowanej do druku pracy J. Bartoszewicza pod tytułem: „Życie domowe panów polskich," słuszny podniosły krzyk na to, że tak cenne rękopisma pozostają dotąd niedostępnemi dla ogółu. Jak wiadomo, śp. Bartoszewicz miał tak nieczytelny charakter pisma, że sam go odczytywać nieraz nie umiał; dość powiedzieć, iż z pomiędzy zecerów warszawskich, dwóch tylko było w stanie rozpoznawać te drobne pokurczone i niekształtne literki, niemające sobie podobnych w żadnym alfabecie i rękopiśmie. Staraniem i kosztem kilku zacnych obywateli przepisano je wreszcie, a teraz syn tą drogą po ojcu spuściznę przygotowuje do druku i zamierza wydawnictwo rozpocząć drugiem wydaniem „Literatury," poprawionej i powiększonej, częścią z notat i wskazówek pozostawionych przez autora, częścią z zebranych przez samego wydawcę. Literatura ta jak wiadomo od lat wielu jest wyczerpaną, a w swoim czasie żadna książka nie wywołała takiej burzy jak ona i tak prędko rozkupioną nie została. Co się tyczy „Życia domowego panów polskich," to wiadomość o tej pracy mylnie pojętą została. Nieboszczyk Bartoszewicz ukończonem nazywał dzieło, do którego miał wszystko w głowie i w notatach przygotowane, a które tylko opracowania stylowego potrzebowało. Tak się też miało z powyższem „Życiem domowem." Dzisiaj pozostał tylko plan i wskazówki jako materjał do napisania całości. W rękopismach kompletnie wykończonych znajdują się: „Dzieje Polski do Kazimierza Sprawiedliwego" tomów 4. „Anna Jagiellonka, czyli życie domowe królów polskich" tomów 2. „Aleksander Jagielleńczyk" spory tom. „Adam Kisiel," rzecz rozbierająca stosunki wewnętrzne Rusi. Oprócz tego między wielu niewykończonemi rzeczami, znajduje się obszerny „Życiorys ojca króla Stanisława Augusta," „Życiorys Hozjusza," "Dzieje Biały Radziwiłłowskiej," w której właśnie skreślone jest życie magnatów naszych. Pierwsze tomy wydawnictwa ukażą się niezadługo.

— Verdiego opera „Aida" została przełożoną na język rosyjski i po raz pierwszy zostanie przedstawioną w najbliższym sezonie w Petersburgu.

— Offenbach zabiera się do napisania dzieła pod tytułem: "Offenbach w Ameryce, szkice podróżującego muzyka." Dzieło to ma wyjść równocześnie w Paryżu w przekładzie francuskim, w Nowym Jorku w angielskim, a w Wiedniu w niemieckim.

— Przez dłuższy czas były akwarja modną zabawką tak dla salonu jak dla dzieci. Od niedawna jednak zwrócono na nie głębszą uwagę; akwarja zaczęły się zjawiać obok zwierzyńców, i o ile środki starczą, widzimy je już nawet budowane z pewnym gustem i stylem. Zawsze jednak są one dla masy niezrozumiałym przedmiotem podziwu, jako mieszczące w sobie dziwaczne stworzenia morskiego i rzecznego świata. Tę lukę wypełniając, wydał W. Hess dziełko w niemieckim języku pt. „Bilder aus dem Aquarium." Autor zebrał wszystkie charakterystyczne obrazki rozrzucone po różnych pismach i uzupełnił je tak, że w jego dziełku znajdujemy przegląd niższych zwierząt w akwarjum się znajdujących. Szczególną zaletą tej książki jest jej wykład popularny.

Akademja krakowska.

— Dnia 29 września odbyło się w krakowskiej Akademji umiejętności posiedzenie komitetu do aktów Hozjusza spowodowane głównie obecnością w Krakowie ks. dr. Franciszka Hiplera, rektora seminarjum w Brunsberdzie, prezesa Towarzystwa historycznego Warmińskiego, znanego autora dzieł: „Literaturgeschichte Ermlands", „Spicilegium Copernikanum", „Analecta Varmiensia", „O portretach Kopernika", obchodzących blisko badaczy polskich. Ks. Franciszek Hipler przybył do Krakowa w celu opracowania materjałów do bibliografji Dantyszka, dostarczonych Akademji przez ks. Wład. Czartoryskiego. Przewodniczył w zastępstwie ks. Zygmunta Goliana, przewodniczący komisji dr. Józef Szujski. Posiedzenie komisji poświęcono wyłącznie omówieniu przyszłego wydawnictwa „Acta Hosiana", do którego warmińskie archiwa, szczególniej do ostatnich lat kardynała, mnóstwo mieszczą materjału. Na wniosek ks. Hiplera postanowiono poprzedzić pierwszy tom aktów, którego druk już w r. 1878 rozpocząć się ma, przedrukiem rzadkiej i klasycznej biografji pióra Ręszki. Wiadomości archiwalne do biografji kardynała mają wedle przyjętego wniosku dr. Zakrzewskiego ułożone być w „Regesta Hozjuszowe", współcześnie z opracowaniem korespondencji postępować mające. Korespondencja obejmie listy Hozjusza i do Hozjusza, drukowane i niedrukowane; rzeczy czysto formalnej natury będą tylko chronologicznie notowane. Przyjęto także odezwę zredagowaną przez przewodniczącego komisji dr. J. Szujskiego, upraszającą o wiadomości o listach Hozjusza, która ma być wysłaną do zagranicznych archiwów, o ile te dotąd przez komisję w celu poszukiwań za Hozjuszem zbadanemi nie zostały.

Stypendja.

— Stypendja Franciszka Józefa. 15. września 1876 cesarz nadał stypendyja po 1000 złr. rocznie, z fundacji noszącej imię Franciszka Józefa I. 1) Władysławowi Halickiemu, architekcie kształcącemu się w Monachjum (na rok drugi); 2) Aleksandrowi Brücknerowi, ukończonemu uczniowi Wydziału filozoficznego we Lwowie; 3) Pawłowi Dubanowiczowi, ukończonemu uczniowi Wydziału lekarskiego w Krakowie. Stypendja powyższe mają na celu umożliwić stypendystom pobyt za granicą, celem głębszego wykształcenia się w obranym zawodzie.

Odkrycia i wynalazki.

— W Portsmout usiłowano ostatniemi czasy powtórnie wypróbować wynalazek Marchanta z Londynu. Wynalazek ten może być użyty przy parowych maszynach i ma tę zaletę, że zaoszczędza materjał palny, a mimo to potęguje działalność siły. Para wykonawszy pracę w cylindrze zostaje napowrót do kotła wtłoczoną, aby znów być zużytą. Doświadczenia miały wypaść korzystnie. Machina, która bez zastosowania aparatu Marchanta w 6 godzinach 1176 funtów węgla spotrzebowała, pracując końmi siłą 84.747 funtów wynoszącą, po zastosowaniu wynalazku okazała zupełnie inny rezultat: siła pary przy zmniejszonej ilości węgla, spotrzebowano bowiem tylko 1158 funtów, wyrównywała 104.129 funtom siły koni. Nadto wynalazek usuwa możliwą eksplozję.

— Roślina, tak zwana mydlana, do rodzaju cebulkowatych należąca, którą oddawna znali Indjanie i Hiszpanie, zwraca obecnie na siebie uwagę kalifornijskich osadników. Roślina owa rośnie masami po całym kraju. Jej cebulka jest zamkniętą w włóknistej skorupce, a ostatniemi czasy przekonano się, że te włókna przy stosownem pielęgnowaniu cebulki, dzielą się na 4 lub 5 gatunków. Najlepszy jest podobny do włosu ludzkiego, a ponieważ z natury posiada barwę blond, przeto z pewnem powodzeniem używają go damy. Inne gatunki służą do różnych celów. Naprzykład najsurowszego rodzaju włókien używają na poduszki do sof, krzeseł itd. również na poduszki do wagonów kolejowych, do czego najbardziej są przydatne, z powodu że podobnie jak kędzierzawy włos koński są elastyczne, ale o wiele miększe. Jest nadzieja, że więcej jak tysiąc beczek tego artykułu wywiozą tego lata za granicę. Wnętrze cebulki dostarcza wspaniałej piany mydlanej do prania.

— Podług doniesień z Los Angelos w pasmie gór Kordyljerskich, a mianowicie wśrod śniegiem pokrytych wyskoków Trapatrapa, pomiędzy dawnemi wulkanami Antuco i Llaima, otworzył się w ostatnich czasach nowy wulkan.

— Ważne archeologiczne odkrycie zrobiono w Mitylenie. W okolicy Wunaraki o ćwierć mili drogi od stolicy, o kilka zaś kroków od wybrzeża, znaleźli robotnicy na stromej skale posąg marmurowy artystycznego wykończenia. Posąg ten przedstawia kobietę w postaci po dwakroć powiększonej. Na nieszczęście są ramiona i głowa uszkodzone. Gubernator wyspy wziął ten posąg, do którego archeologowie wielką przywiązują wagę, w przechowanie, celem przekazania do muzeum narodowego.

Komunikacje.

— W Paryżu ma być zaprowadzoną kolej podziemna. Jeden z największych zakładów bankowych „Société Financière" stara się o uzyskanie koncesji w zamiarze rozpoczęcia jeszcze tej jesieni robót około budowy ograniczając jednak czas takowych do otwarcia wystawy. Projektowana kolej ma ciągnąć się od placu Bastylji, wzdłuż wszystkich bulwarów, aż do kościoła Magdaleny, ztąd znowu do placu Konkordji, następnie przez Elizejskie pola do Rond-Point, a ztamtąd nareszcie do Trocadero, gdzie wystawa złączoną zostanie z polem Marsowem. Z Trocadero linje połączą wystawę z laskiem Bolońskim. Długość ma wynosić 12 kilometrów, do czego należy już wliczyć kilka linij prowadzących do dworców i pola Marsowego. Prawie na całej przestrzeni ciągnąć się będzie kolej w tunelu, tylko w niektórych miejscach otwartą trasą.

Nekrologja.

† W Londynie umarł d. 16 września hr. Henryk Krasiński, kapitan niegdyś wojsk polskich, przeżywszy lat 72. Urodził się w Mińskiem. Od r. 1838 przebywał stale w Anglji. Umarł w wielkiem ubóstwie. Pisał wiele w językach francuskim i angielskim, tak w politycznym jak historycznym zakresie, ale prace jego są bardzo mało znane w kraju.

ROZMAITOŚCI.

— Sławne swojego czasu automaty mechanika Vaucanson'a, (dwaj fleciści i kaczka blaszana, która uderzała skrzydłami, pływała, jadła i piła), które od r. 1738go wprawiały w podziw Europę całą, wywołały w latach następnych liczny szereg naśladowców na polu mechaniki. Atoli wszystkie późniejsze tego rodzaju wynalazki nie dorównywały utworom Vaucansona. Wprawdzie „szachownica zagadkowa," która w r. 1771 nasamprzód w Wiedniu się pojawiła, prezentowana na dworze Marji Teresy, wielkie zrazu miała powodzenie, po kilku jednak latach tajemnica wydała się, i sprytne oszukaństwo „mistrza" wyszło na jaw. Tym mistrzem zmyślnym był niejaki Wolfgang Kempelen, który również zporządził automat gadający; złożony ze skrzynki z mieszkiem. Maszyna wydawała z siebie kilka zgłosek dość niewyraźnie brzmiących, zresztą oczywiście była do niczego. Drugiem jego dziełem „cudownem" była wspomniana wyżej szachownica, za pomocą której, podróżując po Europie i wszędzie ściągając ciekawe tłumy, zebrał sobie majątek olbrzymi. Spekulację tę urządzał w sposób następujący: Wyzywał najznakomitszych podówczas szachistów na partję z jego automatem, gra szła zwykle o wysokie zakłady, przy tem widzowie, a tych nigdy nie brakło, wpuszczani byli jedynie za opłatą znacznego wstępnego — i ku największemu podziwieniu wszystkich, automat wygrywał zawsze partję. Za stołem siedział strojnie ubrany Turek brodaty z drzewa, przed nim stała szachownica połączona z jego wnętrzem niewidzialną maszynerją. Naprzeciw takiego gracza siadał człowiek, nieraz najznakomitszy w Europie szachista! Właściciel automatu przed rozpoczęciem gry, nakręcał z wielkim wrzaskiem sprężyny, a sam oddalał się dla uniknięcia podejrzenia, jakoby był z maszyną w jakiemkolwiek połączeniu. Rozpoczęła się gra. Szachista-człowiek zrobił pierwsze pociągnięcie. W chwilę potem zazgrzytały kółka we wnętrzu Turka, drewniane ramię podniosło się, sztywne palce pochwyciły jakąś figurę i posunęły ją na należyte pole. Teraz ramię opadło na dawne miejsce, automat, zda się, oczekiwał następnego posunięcia przeciwnika. W równy sposób szła partja dalej, i po pewnej ilości ciągów, szachista człowiek z krwi i kości dostawał mata, a drewniana figura o nieruchomem obliczu i ze szklannemi oczyma wygrywała partję. Nic dziwnego, że efekt to był niepospolity, i zanim w końcu rzecz się odkryła, świat zwał maszynę utworem cudownym. Trzeba jednak wziąć na uwagę, że nawet najzręczniejsi szachiści, nie umiejąc sobie wytłumaczyć zjawiska, mimo woli mięszali się i tracili swobodę umysłu w obec takiego zagadkowego kolegi drewnianego. Za każdym razem, gdy partja została ukończoną, Kempelen pokazywał zgromadzonym widzom wnętrze automatu. Wówczas ujrzano mnóstwo kół, kółeczek, sprężyn, walców, dźwigni, itp. słowem istny wirwar mechaniczny, którego człowiek zwykły, nieobeznany z arkanami prostej mechaniki, wcale zrozumieć nie był w stanie. To też ludzie zdumiewali się i żadną miarą dojść nie mogli klucza zagadki. Pochopniejsi do zabobonów, przypisywali ją mocy nieziemskiej, iście szatańskiej, i z pewnym lękiem patrzyli na właściciela automatu. Inni, nie mogąc wytłumaczyć tego sobie w sposób racjonalny, zadowalali się samym faktem i uchylali kornie czoła przed wielkim wynalazcą. Bo też wynalazek byłby nie lada, gdyby martwa ręką ludzką sporządzona maszyna, zwalczała myślącego człowieka, i to przy grze tak wyłącznie na myśleniu i kombinacyjnej sile polegającej! Przyszła w końcu kreska i na naszego Matyska. Było to w Paryżu, gdy pewnego dnia niepokonany nigdy przedtem szachista Philidor zasiadł do partji z Turkiem i przegrał ją — być łatwo może, że podobnie jak inni jego poprzednicy uległ pomięszaniu wobec bezdusznej, z taką śmiałością i pewnością siebie poruszającej figurami statuy Po ukończeniu partji powstał jeden z widzów, i zauważał sarkastycznie, że nowy talent odkrył w cudownym Muzułmaninie, przyczem wskazał na lekki obłoczek dymu snujący się z pod wąsów automatu. „Patrzcie ten Turek dymi tytoniem — dodał — a co dziwniejsza robi to nawet bez fajki." Wszyscy przekonali się niebawem, że to w istocie był dym tytoniowy. Przywołany wynalazca zapytany co to znaczy — nie zdołał ukryć niezmiernego zakłopotania, i nie objaśniając wcale nowoodkrytej zalety automatu, oświadczył zgromadzonym, iż mogą odejść, gdyż przedstawienie na dziś skończone. Zaledwie oddalili się wszyscy, Kempelen, zaryglował pilnie drzwi wchodowe a potem drżącą od gniewu ręką otworzył Turka. W tej chwili buchnął mu w czy gruby słup dymu tytoniowego. Zręcznym ruchem ręki w jednej chwili usunął maszynerję i oto pod nią siedział mały karzeł z czerwonem obliczem, z fajeczką w ustach, pochylony nad cyferblatem, na którym, z pomocą stosownej maszynerji każdy ciąg partnera-szachisty był uwidoczniony. „A, nędzny potworze! — zawołał wynalazca w szalonym gniewie — jak śmiesz palić fajkę podczas produkcji? Czyż nie dość, że ci pozwalam podczas reszty godzin wolnych trzymać bezustannie tę fajkę przeklętą w gębie? Chcesz mię łotrze, zgubić, zrujnować?" — „Ależ powoli, panie Kempelen — odparł mu na to z powagą pan karzeł, wyłażąc z ciasnego swego ukrycia i poprawiając sobie ubiór i perukę. — Zapominasz pan, że masz honor mówić z największym, choć co do wzrostu zarazem najmniejszym szachistą na świecie! Właśnie co pokonałem sławnego w całej Europie Philidora i zdaje mi się, że na co innego zasłużyłem sobie, niżeli na takie impertynencje ze strony pańskiej. Jeżeli chcesz wiedzieć, dla czego dziś właśnie podczas gry paliłem fajkę, to ci wytłumaczę zaraz. Z innymi partnerami nie potrzebowałem jej; atoli z Philodorem, z owym największym graczem, który dotychczas słusznie uchodził za niepokonanego szachistę, musiałem się uciec do tego środka. Byłbym niechybnie uległ tym razem, gdyby nie fajka, z której dym przysporzył mi sił umysłu i przytomności ducha. Skoro atoli zamiast wdzięczności pan obsypujesz mię niegrzecznościami, łamię naszą umowę z dniem dzisiejszym. Bywały dnie, żem ci zarabiał po 100 luidorów, tyś mi płacił zaledwie nędzne dwa luidory, choć pracowałem ci tak wiernie i zdrowie sobie niszczyłem w tej ciasnej skrzynce. Nigdy nie widziałem ani na chwilę świata Bożego, boś mię trzymał w ukryciu przed okiem ludzkiem — i o to taka zapłata za tę tyranję? Ale dość mi tego. Zostanę w Paryżu i potrafię zarobić sobie na życie, bo wiedz o tem, żem największy szachista w Europie." To rzekłszy z dumą dmuchnął słup dymu w górę i ruszył ku drzwiom. Widząc, że karzeł nie żartuje, Kempelen nuż w prośby i zaklęcia. Płakał, klękał przed nim na kolana, obiecywał mu odtąd po dziesięć luidorów dziennie, ale mały mistrz był nieubłagany. Odszedł, a wynalazca pozostał zrozpaczony przy drewnianej, rzeczywiście obecnie już bezdusznej figurze. Wyszedłszy na ulicę spotkał małego Sabaudczyka, zaledwie głową odeń wyższego, i kazał mu zaniesć się do Café de la Regence. Lokal ten sławny był podówczas z tego tytułu, iż takie znakomitości świata umysłowego jak Jan Jakób Rousseau, co dzień tu bywały, najtężsi szachiści rozgrywali w nim swoje partje, a Philidor święcił tryumfy zbierane na polu gry w szachy. I tym razem zastał tu karzeł Philidora. Zaznajomiwszy się z nim rychło opowiedział mu swoje dzieje ciekawe: jak on to będąc duszą drewnianego Turka, wygrywał wszędzie, a Kempelen za to zbierał sumy olbrzymie, podczas gdy świat wierzył iż to dziełem jakiejś sztucznej niezrozumiałej dla ogółu maszynerji. Bo też w istocie maszynerja była arcydoskonałą, i z pomocą jej oszukaństwo ukrywało się dość długo, zdradził je aż dym tytuniowy. Gdy wieść o tem wszystkim przeszła do ogółu, wywołała niezmierną senzację, a zarazem słuszne oburzenie na śmiałego i przedsiębiorczego oszusta. Dzienniki wystąpiły natychmiast z długiemi o tej sprawie artykułami, potępiając wydrwigrosza, jak należało. To też Kempelen nie czekając dotykalnych skutków powszechnego rozsierdzenia umknął z Paryża pod osłoną nocy, przyczem jednak zdołał zabrać z sobą kunsztowną maszynę. Póżniej pokazywano ją w Medjolanie, Londynie, a nawet jeszcze w r. 1822 w Paryżu, jako dzieło owoczesnej mechaniki. Karzeł zaś pozostał w Paryżu co dzień przychodził do kawiarni de la Regence, grywał z bogatymi dyletantami, oczywiście wygrywał i dobrze mu się z tem działo. Gdy w r. 1795 Philidor umarł, on objął po nim palmę pierwszeństwa, jako najdzielniejszy szachista we Francji. Pan Kempelen zbogaciwszy się olbrzymio, zarzucił potem „wynalazki cudowne" osiadł we Wiedniu, przedzierzgnął się na poważnego, rzetelnie podatki od kamienic swych płacącego „bürgera," i umarł szanowany ogólnie!

— Trzej bracia, John, Samuel i William Stevenson, należeli bezsprzecznie do najoryginalniejszych dziwaków, na których jak wiadomo Anglji nie zbywało i nie zbędzie pono nigdy. Najstarszy z nich, John, był kupcem, z powodu jednak niepomyślnych warunków, musiał zaprzestać handlu i sprowadził się do miasta Kendal, gdzie mimo niewielkiej obfitości środków materjalnych pozwalał sobie od czasu do czasu na wcale kosztowne wybryki swej dziwacznej fantazji. Tak n. p. utrzymywał zawsze w oberży konia, na którym jednak nigdy nie jeździł, jeno podczas podróży swoich prowadził go za wozem na tręzli uczepionego. Jeżeli który ze znajomych poprosił go o wypożyczenie tego konia, odpowiadał, iż żądaniu zadośćuczynić nie może, gdyż brak mu czasu, by pojść wraz z koniem i prowadzić go za cugle. Również utrzymywał mnóstwo psów gończych, zakupywał masami broń palną, i odnajmował znaczne przestrzenie do polowania, choć nigdy w swem życiu nie strzelił ni do zwierza, ni choćby w powietrze tylko. Podczas gdy tak z jednej strony karmił do zbytku konia i liczną zgraję psów, nie mając z obojga najmniejszego pożytku, miał znowu formalne upodobanie droczyć i drażnić, gdzie tylko zdołał, współmieszkańców swoich. Była np. gdziekolwiek licytacja, niechybnie znalazł się tam pan John, i gdy widział, że kto chce koniecznie nabyć przedmiot jaki, z pewnością John licytował go do upadłego, aż w końcu tamten ustąpił, a on z tryumfem zabierał drogo oczywiście kupioną rzecz, czy mu była lub nie była potrzebną. Po śmierci jego spadkobiercy znaleźli cztery, drogo opłacane pokoje, przepełnione najróżnorodniejszem rupieciem. Brat młodszy, Samuel, zamożny handlarz bydła w Hackington, miał niepokonane jakieś zamiłowanie do zażywania, pigułek, mikstur, i t. d. wyrobów aptecznych. Z procesu z pewnym aptekarzem okazało się, iż człowiek ten w przeciągu 21 lat połknął 226.934 pigułek najrozmaitszych; licząc po 10806 sztuk na rok, spożywał ich dziennie po 29. Później doprowadził codzienną konsumcję do 78 sztuk! Zarazem jednak wypił przez ten czas kilka tysięcy flaszek mikstur, i zjadł niezliczoną ilość puszek z proszkami. Rachunek aptekarski zajmował 55 stron in folio, zapisanych drobno od góry do dołu. — Najmłodszy William, pracował z razu w zawodzie technicznym, później chodził po świecie za jałmużną jak żebrak zwykły, i to nie z potrzeby, lecz z upodobania w takiej włóczędze. Na trzydzieści lat przed śmiercią — umarł mając 87 lat — rozwiódł się z żoną, przyczem oboje zobowiązali się, że gdyby którekolwiek z nich pierwsze zaproponowało drugiemu zgodę i połączenie powtórne, zapłaci mu niezwłocznie tytułem kary 100 funtów. Atoli obydwie strony wystrzegały się pilnie widywać się z sobą Czując w podeszłym wieku koniec życia rychły, dziwak zamówił u cukiernika dwanaście tuzinów ciast, sporą ilość cukrów, i zniósł to wszystko wraz ze stosowną ilością wina i wódki, do swojego mieszkania. Następnie rozkazał przynieść sobie przedtem już zamówioną do miary trumnę, i jedząc a pijąc omawiał z grabarzem szczegóły pogrzebu oraz przeznaczył miejsce na swój grób. W kilka godzin umarł wśród strasznych boleści, w obecności żony, którą przedtem jeszcze przywołać kazał i wręczył był jej 100 funtów jako umówioną karę za chęć pojednania.

Od Redakcji.

Upraszamy szanownych Czytelników o odnowienie przedpłaty na kwartał bieżący, ponieważ prenumerata ubiegłego kwartału skończyła się z numerem czwartym.

Treść Nr. 6.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).